



Nowa Kultura

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 21 czerwca 1953 r.

Nr 25 (169) Rok IV

Evviva l'Italia!

„Evviva l'Italia!” Niech żyją Włochy! Często słyszałem, jak Włochy takim okrzykiem witali komunistyczne pochody. Takim okrzykiem na pewno powitał cały prawie naród swe ostatnie zwycięstwo. Wyobrażam sobie radość w traktamentach ludowych, na festynach, zabawach, widzę tży szczęścia w oczach wielu, jak wówczas, gdy na balkon ratusza wyszedł komunistyczny wójt, entuzjazm stutystycznych tłumów jak wówczas, gdy po chorobie przemawiał na Foro Italico uwielbiany Togliatti.

Niech żyją Włochy! — takim echem odbija się zwycięstwo z 6 czerwca 1953 roku w obozie pokoju i postępu.

Zwycięstwo demokratycznych sił włoskich przekreśliło uchwaloną przez chadecką większość oszukańczą ordynację wyborczą, która miała zapewnić de Gasperiemu 65 proc. posłów. Ale chadecja i jej satelici nie otrzymali minimalnej liczby głosów potrzebnej dla „premiu”. Jest to wielkie zwycięstwo ludu włoskiego, zdobyte w długiej walce z polityką kłamstwa, terroru, prowokacji, faszystowskiego nabożnego rządu klerikalnego.

Do Włoch przyjechałem już po wyborach w r. 1948-ym. Ale przeżyłem jeszcze dwie kampanie wyborcze i wiem, ile natężonej pracy, wysiłku, prześladowań kosztowały komunistów włoskich, ile zimnej krwi musieli wykaazać ci tak pełni temperamentu, wybuchowi ludzie. Robotnicy nie spali w nocy i chodzili nalepiał afisze, rozwieszać na murach transparenty, ażeby rano ludzie wychodząc z domu mogli je czytać, zanim zostaną zdarte i zabite przez grupki faszystowsko-klerykalne.

Przed robotnikami brała faszystów w obronę policja, czuwająca nad „demokratyczną wolnością” propagandy przedwyborczej.

Oprócz terroru fizycznego istniał terror religijny. Straszono diabłem i piekłem tych, co będą głosowali za zwyciężymi przez papieża komunistami. Ambony stawały się mównicami, a kościoły lokalami wiecei przedwyborczych. Wznosiła się akcja „cudów”. Jeszcze w maju 1952 r. moja gospodyni, skracająca baronessa austriacko-włoska, opowiadała mi z przerażeniem o Madonnie płaczącej krwawymi łzami w kościółku Amer del Dio pod Rzymem. Jeszcze w roku 1948 zabieg ten był skuteczny, ale po czterech latach chadeckich rządów krwawej tży świętych obrazów nie odstraszyły rzymin od głosowania na listę wyklętych. Już „nie chwytano” — jak mówią Włosi.

Ale reakcja klerikalna nie przegrywała wyborów z dnia na dzień. Pamiętani jubel atlantyckiej prasy włoskiej i amerykańskiej, która zażądała na najgłośniejsze puzony tytuł: „Schizm” w szeregu komunistycznych”, „Upadek komunizmu we Włoszech”, „Panika w sztabie generalnym Togliattiego” itd. „Tempo” i „Quotidiano” szalały, rozdygnięte w istic amerykańskim stylu „afere” do kosmicznych rozmiarów.

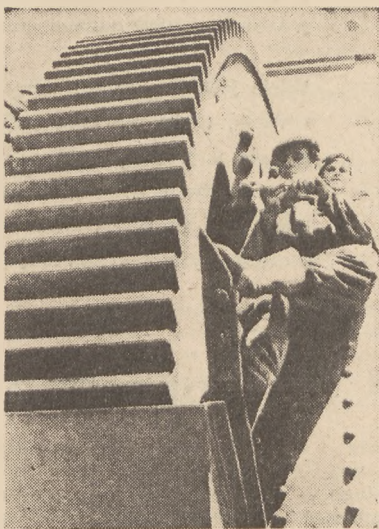
O co szło? Wystarczyło jednego zdania Togliattiego, ażeby salon kłamstwa pokostawiając po sobie tylko trochę smrodu. „I w grzywie szlachetnego konia mogą się znaleźć dwie albo trzy wszy” — powiedział Togliatti.

Tymi wszami byli dwaj postowie wybrani w roku 1948 głosami ludu do parlamentu. I gdy zbliżał się termin wyborów samorządowych w r. 1952 zamieścili oni w faszystowskiej gazecie oświadczenie, że występują z partii komunistycznej, gdyż nie zgadzają się z jej polityką. Nie omyśleli oni przytem wyłączenia kuba bota zaczerpniętego z antykomunistycznego arsenału amerykańskich kłamstw i oszczerstw. Nastąpił przez tajną policję mieli rozbić jedność klasy robotniczej, a skończyło się na dwóch wszechwyznaczonych z partii. Wyborcy wykazywały wzrost głosów komunistycznych.

Podobnie stało się w roku 1953. Tym razem była to osławiona „wystawa” o ZSRR i krajach demokracji ludowej. Wiadomo że skończyło się to kompromitacją rządu włoskiego. Jeśli trudno analizie chemicznej poddać krawie tży Madonny, gdyż na to we Włoszech nie pozwolą władze kościelne, to jeszcze trudniej przed członkiem ukryć wystawioną, jego własną fotografię, mającą przedstawić prześladowanego Gruzina. Nie pozostaje nic, tylko fabrykacja „cudów”, prowokacja, fałszerstwo, kłamstwo. Ale na tej kwadrzyde daleko nie zajdzie nikt, nawet z błogosławieństwem i pomocą Watykanu.

Dlatego zwyciężył lud, dlatego ostateczne zwycięstwo należy będzie do prawdziwych Włochów. Evviva l'Italia!

Julian Strykowski



Przy montażu w Kombinaście

Przyjechałem do Nowej Huty w maju 1950 roku. „Miasto” składało się z 10 budynków, przeważnie kilkumieszkalniowych, wyrastających z gmatwaniny przekopów instalacyjnych, składowisk materiałowych i zwałow nie odwiezionej jeszcze ziemi. W kilkudziesięciu punktach tego wielkiego placu budowy, w miejscach — można teraz powiedzieć — dosyć nieocze-

kiwanych — czerwienili się mury następnych bloków Osiedla A-1. Blisko 20-hektarowa wyspa, wycięta w falującym zbożu, przyczepiona do Krakowa ośmiokilometrową (będącą zresztą dopiero w budowie) drogą, wrzała i kotłowała się wzrastającym tempem Wielkiej Budowy. Należało jak najszybciej związać Dyrekcję Budowy Miasta Nowa Huta każdą jej komórką organizacyjną, każdym „nerwem” — z szybkim rytmem pracy. Nie można było kierować budową z Krakowa, gdzie mieściła się początkowo Dyrekcja Budowy Miasta Nowa Huta. Należało więc jak najszybciej przenieść się do Nowej Huty.

„Przenieść się”... słowa te pisze się znacznie łatwiej, niż wyglądało to w praktyce. Spis przeszkód — wręcz zdawałoby się uniemożliwiający przeprowadzkę, wzrastał z godziny na godzinę. I tak np. w tym czasie cały zespół instytucji sprzęgniętych z budową Kombinatu i miasta zlokalizowany był w Krakowie lub jeszcze dalej. Przeniesienie do Huty utrudniały w znacznym stopniu kontakty i koordynacja — tak ważne w pierwszych okresach budowy. Łączność z Krakowem była — jak to się mówi — w stadium organizacyjnym. Pociąg kursujący 2 razy na dobę potrzebował na pokonanie odległości os-

miu kilometrów niemal pełnej godziny. Droga dopiero w budowie. Zdobyć miejsca w autobusie wymagało zrecznosci, sprytu i siły, przymiotów równych gatunkowo cierpliwości, z jaką czekało się na połączenie telefoniczne z Krakowem.

To były niewątpliwie trudności tzw. techniczne — obiektywne. Ale były i inne. Część mieszkańców Krakowa nie odczuwała i nie rozumiała lub bała się rewolucji, jaką wносиła w stare mury miasta dewczja budowy Kombinatu. Dla tej części urzędników krakowskich odsunięcie miejsca pracy od ich rodzinnego Krakowa było niemal nie do przyjęcia. Równocześnie więc z akcją przygotowawczą do przeprowadzki — rosły opory. Przybierały różną formę. Najpierw były żarty. Opowiadano, że na drogę do Nowej Huty trzeba będzie zawsze brać ze sobą przynajmniej trzy rzeczy: długą walówkę konieczną do tak długiej podróży, przynajmniej jeden bosak do wyciągania pracowników Dyrekcji z błota nowohutnickiego i łyżkę do butów, by się można było wciągnąć do biura urzędującego w normalnym budynku mieszkalnym, projektowanym przestrzennie z przyszłowiowym skapstwem ZOR-u.

Żarty były dopiero przygotowaniem do właściwych, rzeczowych argumentów. „Mobilizowały” opi-

nię. Właściwy kontrakt rozpoczął się z chwilą, gdy organizacja partyną postawiła problem przeprowadzki przed załogą Dyrekcji. Wyłonili się wtedy dwie grupy opozycjonistów należących zresztą — do jednego obozu. „Wyrażamy obawę, że większość załogi wymówi pracę i Dyrekcja się rozłoży” — mówili jedni. „Nowa Huta leży za

granicami Krakowa — i z punktu formalnego biorąc — należy się nam diety za pracę poza miastem. Czy je dostaniemy?” — zapytywali przedstawiciele drugiej grupy. Kruche to były argumenty. Przecistawiali się im dwa bezsporne stwierdzenia. Po pierwsze: było dla każdego jasne, że Nowej Huty nie można będzie budować w Krakowie, tylko w Nowej Hucie. Podrugie: każdy już wiedział, że Powiatowy Komitet Partii przeniósł się na osiedle A-1.

Po dwóch tygodniach Dyrekcja Budowy Miasta Nowa Huta urzędowała we wspólnym „gmachu” Nr 22 osiedla A-1. Sala konferencyjna liczyła pełne 18 m. kw. podłogi, a sekretariat dyrektora przekroczył 8 m. kw. (łącznie z poczekalnią). Pracowaliśmy razem z cieślami, stolarzami, malarzami, którzy dopasowywali resztę drzwi i wykończyli roboty malarskie... Było dość do biura, trzeba było przekroczyć przez wykopy kanalizacyjne, wodociągowe, czy gazowe, otwarte dla podłączenia następných budynków. Za to czasem paliło się światło.

Od tej przeprowadzki minęły niepełne trzy lata. Dyrekcja Budowy Miasta Nowa Huta ulokowała się już dawno w nowym, niemal biurowym, budynku Nr 8 na osiedlu C-1. Świetlica, system korytarzowy, w każdym pokoju telefon. Czy to prawda, że urzędowaliśmy kiedyś w Krakowie? Czy to możliwe, że byli wśród nas tacy, którzy nie chcieli się przenieść do Nowej Huty? Dziś na posiedzeniach Komisji Lokalowej rozpatruje się stale wnioski instytucji krakowskich, które „m u s z a b e z w o c z n i e” otrzymać pomieszczenie w Nowej Hucie. Tow. Anioł, Przewodniczący Prezydium Dzielnicy Rady Narodowej w Nowej Hucie wdycha ze współzuciem, skreślając liczne pozycje z listy pretendentów do przeprowadzki. „Mogą posiedzieć jeszcze trochę w Krakowie” — oświadcza wśród powszechnej anarobaty pozostałych członków Komisji.

✱ Dla kadry technicznej i specjalistów, zjeżdżających ze wszystkich krańców kraju do Nowej Huty, Uchwałą Rządu zarezerwowane zostało budujące się właśnie ZOR-owskie osiedle w Krakowie, na Grzegórkach. Jednocześnie zapadła ważna decyzja: postanowiono lokować przyjeżdżnych robotników w nowych budynkach, zamienianych na hotele. W ten sposób uniknięto zjawiska towarzyszącego każdej wielkiej budowie tj. miasteczka barakowego, które — jak każda prowizorka, ulega rozbiórce dopiero po jakimś większym pożarze, trzęsieniu ziemi czy udanym bombardowaniu. Dzięki małemu izbom największy zespół mieszkalny w hotelu nie przekraczał 6-ciu osób, tj. jak w Domach Akademickich w Warszawie. Uzbrowienie mieszkania w pełne wygody, jak w każdym ZOR-owskim budynku, było dalszą korzyścią takiego rozwiązania sprawy hoteli robotniczych.

Zaspokojenie potrzeb socjalnych i kulturalnych musiał w tym okresie wziąć na siebie Kraków. Na miejscu budowano tylko stołówki, świetlice, a sklepy zaczęły powstawać (na alarm Organizacji Partyjnej) dopiero w drugiej połowie 1950 roku.

Niewątpliwie warunki bytowe mieszkańców Nowej Huty — jak zwykle w pierwszym okresie budowy — były dosyć ciężkie. Brak apteki, przedszkola, żłobka, szkoły... A błoto? Technicznie błoto nie było — występowało ono w dokumentacji technicznej jako ily pylaste, względnie pyły gliniaste. Ale funkcja ily pylastej i pyłu glinianej

(Dokończenie na str. 2-iej)



W mieście Nowa Huta

lutionibus papieżowi Pawłowi III: „Jeżeli się przypadkiem znajdą lekkomyślni, którzy nieobczani z żadną częścią matematyki zechcą wszelako o każdej sądować, powołując się na pewne miejsca pisma świętego, że do tego celu naciągione i ośmielają się dzieło moje ganić i potępiać, oświadczam, iż o takich wcale nie dbam tak dalece, że nawet ich sądem jako płochym gardzę”.

Choć Kopernik przewidywał, że myśl jego natrafia na sprzeciw ze strony teologów, nie cofnął się przed ich ogłoszeniem, był bowiem przekonany o prawdziwości swych twierdzeń, o tym, że nauka jego nie jest tylko jedną z hipotez, lecz odzwierciedla obiektywną rzeczywistość wszechświata.

W opisie treści De revolutionibus wskazywano już na to, jak konsekwentnie Kopernik przeprowadzał zasadę względności w interpretacji ruchu dziennego sfery niebieskiej i obserwowanych przesunięć Słońca i planet na niebie. Stosunkowo łatwo było na podstawie tej zasady podać argumenty przemawiające za ruchem Ziemi dookoła osi. Nie było trudne obalenie naiwnego zarzutu Ptolemeusza, że wirująca Ziemia mogłaby się rozlecieć i rozbić kawałkami, wymagało natomiast już głębokiego przemyslenia przyznanie powietrzu ziemskiemu brania udziału w ruchu obrotowym Ziemi.

Większe trudności nasuwało stosowanie zasady względności ruchu do wyjaśnienia obserwowanego ruchu rocznego Słońca i ruchów planet. Przed Kopernikiem właściwie tylko Arystarch wypowiedział w sposób konkretny myśl o ruchu Ziemi dookoła Słońca. Jednakże myśl ta, nieoparta argumentami fizycznymi, nie została przyjęta przez starożytnych i popadła w zapomnienie. Kopernik nie tylko postawił jasno tezę ruchu Ziemi dookoła Słońca, lecz wiązał ten ruch z ruchem planet, którym przypisał ruch analogiczny. Na tę myśl naprowadziła go konsekwentnie stosowana zasada względności ruchów, a mianowicie występowanie okresu pozornego obiegu Słońca w ruchach wszystkich planet. Było ono w teorii Ptolemeusza zupełnie przypadkowe, nie wynikało bowiem z założonej jego teorii. Dopiero w świetle pracy Kopernika związek między obserwowanymi ruchami planet i pozornym ruchem rocznym Słońca stał się logiczną konsekwencją ruchu Ziemi i wynikał bezpośrednio przez zastosowanie do tych ruchów zasady względności. Wystarczy w tym celu przenieść do środka układu planetarnego Słońce na miejsce Ziemi, a Ziemię z Księżycem przenieść na miejsce Słońca i każą jej biec dookoła Słońca wraz z innymi planetami. Wtedy te niezwykłe osobliwości ruchu planet staną się całkowicie zrozumiałe.

Kopernik zdawał sobie sprawę z śmiałości swych twierdzeń i z tego, że zostanie on zaatakowany za niezgodność swych myśli z tekstem Biblii. O tym świadczy słowo, wypowiedziane przez niego z wielką godnością w dedykacji dzieła De revolutionibus papieżowi Pawłowi III: „Jeżeli się przypadkiem znajdą lekkomyślni, którzy nieobczani z żadną częścią matematyki zechcą wszelako o każdej sądować, powołując się na pewne miejsca pisma świętego, że do tego celu naciągione i ośmielają się dzieło moje ganić i potępiać, oświadczam, iż o takich wcale nie dbam tak dalece, że nawet ich sądem jako płochym gardzę”.

Choć Kopernik przewidywał, że myśl jego natrafia na sprzeciw ze strony teologów, nie cofnął się przed ich ogłoszeniem, był bowiem przekonany o prawdziwości swych twierdzeń, o tym, że nauka jego nie jest tylko jedną z hipotez, lecz odzwierciedla obiektywną rzeczywistość wszechświata.

Praca Kopernika tym się różni od prac astronomicznych pisanych przed nim, że te ostatnie miały przeważnie charakter spekulatywny, bez troszczenia się o zgodę teorii z faktami. Obserwacje były wykonywane stosunkowo rzadko, szczególnie w średniowieczu w Europie, i mało odzwierciedlały potrzebę. Czasem fakty stały w jaskrawej sprzeczności z teorią, a mimo to teorii nie zarzucono. Przykładem może służyć omawiana tu już teoria ruchu Księżyca, podawana przez Ptolemeusza, według której Księżyc podczas kwadr miał odległość od Ziemi dwa razy mniejszą, niż podczas pełni. Mimo że nie wiadomo, aby średnia kątowna Księżyca podczas kwadr była dwa razy większa niż podczas pełni, nikt przed Kopernikiem nie ośmielał się podawać w wątpliwość teorii Ptolemeusza, nie sprawdzono jej obserwacyjnie, nawet sam autor nie zwrócił uwagi na to, że jego teoria jest sprzeczna z obserwacjami. Większą wiarę dawano teorii niż faktom, gdy zaś fakty były sprzeczne z teorią, starano się je naciągnąć do teorii. Byli więc tacy interpretatorzy Ptolemeusza, którzy zakładali, że Księżyc podczas pełni się rozdyma, aby jego średnica kątowna była taka sama, jak i podczas kwadr.

Zupełnie inaczej podchodził do zaobserwowanych faktów Kopernik. Dla niego jedynym kryterium prawdziwości teorii naukowej była zgoda z naturą rzeczy. W tym tkwi wielkie metodologiczne znaczenie pracy

(Dokończenie na str. 2-iej)

(Dokończenie na str. 2-iej)

EUGENIUSZ RYBKA

Istota pracy Kopernika

Dzieło Kopernika, ukazujące ludzkości nowe prawdy o wszechświecie było wytworem rewolucyjnej epoki Odrodzenia, z jej doniosłymi zmianami w życiu ekonomicznym, wytworem nowej nauki burżuazyjnej, która wyzwalała się z pęt teologii, żądała wolności myśli i stała na stanowisku poznawania świata takim, jakim on jest rzeczywiście, a nie jakim go przedstawiali uznawane do tego czasu autorytety.

Na początku XVI wieku czynnik postępu działał jeszcze dość słabo, znalazły jednak swój wyraz w dziele Kopernika, który wyprzedzając swymi rewolucyjnymi myślami współczesną sobie epokę, położył trwał podwaliny nie tylko pod rozwój astronomii, lecz i pod rozwój nauk przyrodniczych w ogóle.

Układ Ptolemeusza z jego mistycznymi założeniami o odrębności „Nieba” i Ziemi odpowiadał w zupełności duchowi średniowiecza, oparowemu całkowicie przez kościół i jego naukę o sprawach nadprzyrodzonych. Rola astronomów średniowiecza przed Kopernikiem sprowadzała się najwyżej do komentowania teorii geocentrycznej, która przez wykluczenie możliwości przeniesienia praw ziemskich na zjawiska „niebieskie” była całkowicie bezpodłna, nie stwarzając możliwości postępu. Prowadziło to myśl ludzką na manowce agnostycyzmu, do stwierdzenia niemożności poznania rzeczywistej budowy świata rządzącego się nieznanymi nam prawami, odmiennymi od praw ziemskich, prowadziło do niedorzeczności astrologii.

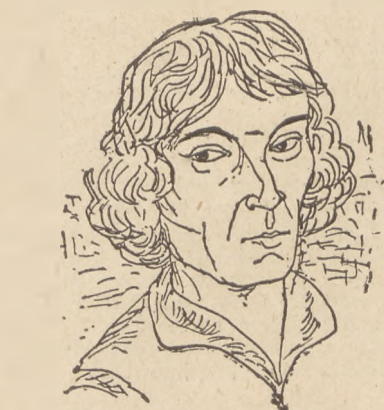
Aby naukę o wszechświecie ruszyć z martwego punktu, w którym znalazła się przez przyjęcie zasady geocentrycznej, trzeba było dokonać bardzo śmiałego kroku — zerwać z zasadą komentowania myśli autorów starożytnych i zastąpić przestarzałe koncepcje poglądami nowymi, uznać rzeczywistość otaczającego nas świata i dać nowe podejście do niego. Ten śmiały krok po raz pierwszy zrobiony został przez Kopernika.

Kopernik był humanistą i jako humanista przepojony był wielką czią dla myślicieli starożytnych.

Zamierzał więc początkowo poprawić jedynie dzieło Ptolemeusza, którego miał w wielkim poważaniu, przez wprowadzenie do teorii budowy świata ruchu Ziemi. Jednak dzieło De revolutionibus nie stało się poprawioną teorią starożytnych, lecz nowym zupełnie fundamentem pod rozwój nauki, całkowicie odrębną od tej, jaką nam przekazywała starożytność.

Rewolucyjność nauki Kopernika tkwiła i w metodzie rozumowania, i we wnioskach. Metoda pracy i uświadomienie sobie jej celu dla każdego twórcy naukowego ma znaczenie zasadnicze. Kopernik ten cel widział jasno w obiektywnej prawdzie o świecie, cel do którego dąży obecnie prawdziwi badacze nauki.

Badania zaś budowy świata Kopernik przeprowadzał nie w oderwaniu od innych zagadnień naukowych, lecz w ścisłej łączności z nimi,



rys. M. Rudnicki

Praca Kopernika tym się różni od prac astronomicznych pisanych przed nim, że te ostatnie miały przeważnie charakter spekulatywny, bez troszczenia się o zgodę teorii z faktami. Obserwacje były wykonywane stosunkowo rzadko, szczególnie w średniowieczu w Europie, i mało odzwierciedlały potrzebę. Czasem fakty stały w jaskrawej sprzeczności z teorią, a mimo to teorii nie zarzucono. Przykładem może służyć omawiana tu już teoria ruchu Księżyca, podawana przez Ptolemeusza, według której Księżyc podczas kwadr miał odległość od Ziemi dwa razy mniejszą, niż podczas pełni. Mimo że nie wiadomo, aby średnia kątowna Księżyca podczas kwadr była dwa razy większa niż podczas pełni, nikt przed Kopernikiem nie ośmielał się podawać w wątpliwość teorii Ptolemeusza, nie sprawdzono jej obserwacyjnie, nawet sam autor nie zwrócił uwagi na to, że jego teoria jest sprzeczna z obserwacjami. Większą wiarę dawano teorii niż faktom, gdy zaś fakty były sprzeczne z teorią, starano się je naciągnąć do teorii. Byli więc tacy interpretatorzy Ptolemeusza, którzy zakładali, że Księżyc podczas pełni się rozdyma, aby jego średnica kątowna była taka sama, jak i podczas kwadr.

Zupełnie inaczej podchodził do zaobserwowanych faktów Kopernik. Dla niego jedynym kryterium prawdziwości teorii naukowej była zgoda z naturą rzeczy. W tym tkwi wielkie metodologiczne znaczenie pracy

T A D E U S Z P E I P E R

W j a s k i n i l w a

W Związku Literatów, w sekcji poświęconej literaturze dziecięcej i młodzieżowej, dyskutowano były szkolne czytanki.

Uprzednio kilku „sekcjantów” i kilka „sekcjantek” zapoznano się z podręcznikami, a teraz słyszeliśmy ich wrażenia i sądy. Przeciagali przed nami kolejno podręczniki dla klasy II, III, IV, V, VI, VII, a więc dla dzieci od lat 8-miu do 13-tu.

Omówienia były krótkie, ale wyraziście w charakterystyce. Rzadko słyszeliśmy pochwały, przeważały sądy ujemne, a wśród nich zarzuty, że czytanki są nudne i trudne, że nie budzą silniejszych wrażeń, że nie ma w nich zaciekawiającej akcji, że nie zaspokajają potrzeby wesołości, do której przecież dzieci mają prawo.

W podręczniku dla klasy IV opowiadanie „Nagroda” ma rozstrząsać obraz lepszych, racjonalniejszych metod pracy. Przy oczyszczaniu pola z ostów kierownik trójki harcerskiej przemówił tak:

„Słuchajcie, spróbujmy teraz pracować trochę inaczej. Każdy z nas ma do oczyszczenia pas pola dwumetrowej szerokości, czyli na wszystkich wypadła sześć metrów. Stąd — dotąd! Idźcie teraz przodem, po bokach naszego sześciometrowego pasa. Ty, Zosiu, uważaj tylko na ten kawałek pola o szerokości jednego metra, półtora metra z drugiego boku weźmie Felek. Ja, idąc za wami, będę oczyszczał resztę. Tylko uwaga! Starajcie się nie opuścić żadnego ostu i iść możliwie najszybciej!”

Referentka zarzuciła temu ustępowi, że nie ma w nim nic o samej pracy, a więc że tutaj praca nie działa na wyobraźnię ani na uczucie; jest tylko geometryczne rozłożenie opracowywanych pól. Zbyt łagodna referentka nie zajęła się tą geometrią zdumiewającą, która zastępuje na miejsce wśród ćwiczeń podręcznika arytmetyki, a nie wśród czytań literackich, w połączeniu zaś z końcowym wezwaniem harcerza-kierownika narażała Zosię i Felka na niejedno poranienie rąk i nóg.

Z CZYTANEK DLA DZIECI 13-LETNICH

W mieście, którego nazwiska nie powiem, Nie to albowiem do rzeczy nie przyda. W mieście, ponieważ zbior pustek tak zowiem, W godnym siedlisku i chłopa, i Zydą. W mieście (gród ziemstwa trzyma, albowiem, Stare zamczysko, pustoty onyda) Były trzy karczmy, bram cztery ulomki, Klasztorów dziewięć i gdzieniedzie domki.

Bajki pisał o dawnym Saturnie Ci, co za niego tworzył wiek złoty, Szcześliwszy przeor jadący poczwornie, Szcześliwszy lektor mistycznej roboty, Szcześliwszy ociel, po trzecim nokturnie W puchu topiały chorew kłopoty, Szcześliwszy z braci, gdy kaganek zgasał, Co w słodkim miodu wytrawionu zasnął.

Miedzy podręcznikami dla klasy IV a podręcznikiem dla klasy V jest niedopasowany skok w poziomie; dziecko jest starsze o rok, a czytanki trudniejsze o lat kilka.

Nieliczenie się z nadmierną trudnością niektórych utworów nie da się wytłumaczyć inaczej jak ignorowaniem umysłowych możliwości dziecka. W podręczniku dla klasy VII twórczość Krasickiego reprezentują strofy z „Monachomachii”, zbudowane z najbardziej chyba skomplikowanych zdań, jakie zna poezja i przewiercone równie skomplikowanymi liniami myślowymi, strofy pełne słów dzieciom 13-letnim nieznanymi i w danym kontekście nie dających się wyjaśnić. Aby dać wyobrażenie o pedagogicznym przestępstwie jakiego dopuszczono się tutaj, przytaczam dwie z tych strof i oddzielnie umieszczam je w ramce.

Jedna z nauczycielek obecnych na naszym zebraniu wyznała, że po przeczytaniu tego urywka z dzieła Krasickiego zapanował w klasie nastrój osłupienia; żadne dziecko nie rozumiało, absolutnie nie. Wiele czasu zużyła nauczycielka, aby jako tako wytłumaczyć nie tyle słowa i zdania, ile zawartość treściową, a gdy w końcu dzieci zrozumieli, jedynym ich odzewem było krótkie i rozczarowane: „aha”. Na następnej lekcji znowu nie z treści nie wiedzieli — z wyjątkiem jednego dziecka wybitnie zdolnego (i może takiego z którym w domu rodzice pomęczyli się niemal nad pokonaniem trudności).

Przed trudnościami szczególnego rodzaju stawiają uczniowie czytanki, w których opisywane są przedmioty dotąd przez dzieci niewidziane. Trudnościom mogłyby zaradzić ilustracje, ale redaktorzy podręczników, tzw. podręcznikarze, poskąpili ich nawet wtedy, kiedy są nieodzowne. W podręczniku dla klasy II pojawia się rudowłosek, warsztat tkacki, tramwaj, wnętrze apteki, ale podane są tylko opisy, nie ma ilustracji. Takie opisy stają się dla dzieci męczarnią, jeżeli opisywanych przedmiotów nigdy nie widzieli, a przecież takie właśnie jest los co najmniej dzieci wiejskich.

Są w podręcznikach ilustracje w odniesieniu do innych tematów — ale jakże żałosne! Referent o każdym podręczniku białad pomrukami. Czytanka, opowiadająca o Skłodowskiej - Curie w wieku, gdy była młodą kobietą, ma ilustrację, na której młoda kobieta wygląda

jak osoba stara, znekana. Szopen ukazany jest przy łutepianie nie z jego epoki. Nie brak rysunku, w którym umieszczone są szczegóły wręcz sprzeczne z tekstem opowiadania, a więc strącające umysł dziecka w mękę bezradnego myślenia.

Najpoważniejsza pracowniczka naszej Sekcji, dyskutanka pełna poczucia odpowiedzialności za wszystko co o literaturze dziecięcej mówi, ujęła sytuację znakomicie: słuszne jest — mówiła — by czytanki zajmowały się uciskiem niższych warstw społecznych, ale istniejące też straszliwe uciski dziecka, który dokonuje się tymi tutaj złymi podręcznikami. Patrząc na przebieg tego ucisku ma się ochotę wyzwolić nie te uciemiężone warstwy społeczeństwa, lecz uciemiężone dziecko.

II.

Wszedł na trybunę człowiek uroczysty. Mówił powoli i uważnie, cedił słowa z namysłem. Był to podręcznikarz.

Zaczął od podziękowania Związkowi Literatów za zaproszenie pracowników Ministerstwa Oświaty, pedagogów, nauczycieli i organizatorów prac podręcznikarskich, ale... wyraził ubolewanie, że nie wiedział co tutaj będzie.

Po wszystkim, co słyszał, czuł się tak jakby był zaproszony do jaskini lwa. Tak określił to sam.

Dalszą swą wypowiedź rozwijał metodą, która nie różniła się zasadniczo od tej, jaką zwykle stosują krytykownicy winowajcy. Metoda ta polega na tym, że wypowiedź zaczyna się mniej więcej tak: **Słuchałem krytyki z uwagą na jaką w pełni zasługuje, słuchałem jej z zadowoleniem, nawet z radością, bo świadczyła, że opinia publiczna nie jest nieczuła na sprawę wielkiej wagi społecznej. Fakt zaś, że zajęli się nią ludzie tutaj zebrani, najbardziej do oceny naszej pracy powołani, musimy powitać z nietajonymi uczuciami wdzięczności.** Po takich słowach wstępnych krytykownicy winowajcy dają krótkie i ogólnikowe przyznanie się do popełnionych błędów, przy czym korystają z uszłości słowa „niedoręcznikarz”.

Wobec tego, że w tym roku zebrał się w Warszawie na temat podręczników, a więc na temat, który jest dla nas bardzo ważny, postanowiłem przedstawić wam, drodzy panowie, moje przemyślenia na ten temat. Chcę przedstawić wam, drodzy panowie, moje przemyślenia na ten temat. Chcę przedstawić wam, drodzy panowie, moje przemyślenia na ten temat.

Taką to metodę zastosował również podręcznikarz. Usiłował znaleźć popiół na głowy naszych sekcjantów i naszych sekcjantek. Sekcja literatury dla dzieci i młodzieży — wywodził kaznodziejsko — zajęła się podręcznikami czytankowymi o kilka lat za późno; teraz odzywają się tutaj głosy, które chcą nas zepchnąć na jakieś pozycje reakcyjne; my, podręcznikarze, musimy Sekcji postawić zarzut, że tematy aktualne, tematy żywotne nie zostały podjęte przez literaturę i że z tego powodu przy opracowywaniu podręczników brak nam utworów, z których byśmy mogli czerpać, a przecież tylko na czytankach, będących odbiciem dzisiejszego życia, możemy wychowywać młodzież.

Tematy aktualne... Reakcyjne pozycje... Podręcznikarzowi zdawało się, że zareplikował zresztą nie tylko oskarżając. A przecież jakkolwiek bądź przedstawiałaby się sprawa utworów będących odbiciem życia dzisiejszego, nie może ona służyć do obrony wszystkich innych wad podręcznikowych, a ilość tych wad urosła w setki! Zresztą w sprawie tematów aktualnych doleciał podręcznikarz już w czasie jego przemówienia głos najpoważniejszej z naszych „sekcjantek”, która stwierdziła, że dotąd nikt nie zwracał się do Sekcji z propozycją współpracy w podręcznikach.

Mówca, który w sali naszych obrad czuł się gościem w jaskini lwa, a przemawiał jakby był winowajcą i oskarżycielem — przeholował. Przewodnicząca zebrania skoryzowała z przysługującego jej prawa i zganiła ton jego przemówienia; przeciwstawiła mu pragnienia Sekcji: chcemy dyskusować w atmosferze wzajemnego zrozumienia, chcemy dojść do wniosków, które by podręcznikom pomogły.

Obiektywizm zmusza jednak do stwierdzenia, że podręcznikarz miał prawo skarżyć się na niezrozumienie go w jednej sprawie, i to takiej, od której wiele zależy: w sprawie programów, jakimi Ministerstwo Oświaty wyznacza kierunek układaniu czytankowych podręczników. Myśli o tych

programach występowały w wielu przemówieniach, ale nikt nie zobowiązał sprawy tak jasno, jak podręcznikarz i nikt nie mówił o niej z takim naciskiem jak on.

Posłuchajmy go:

„Podręcznik powstaje na podstawie ministerialnego programu i o tym powinni wiedzieć nasi obywatele. Redaktorom podręcznika dla klasy V oświadczone:

— Moi drodzy! Chyba jest jasne, że trzeba dać coś o Konstytucji, bo przecież to jest takie wydarzenie, wobec którego nie można przejść mimo. Trzeba dać coś o wsi, bo zwróceno nam uwagę, że też wsi jest za mało. No i trzeba dać coś o Złocie młodzieży.

Ja, proszę państwa, nie jestem literatem i nie mam pretensji do parania się piórem, a jednak w naszych podręcznikach popełniłem literackie grzechy, popełniłem je dlatego, że działałem w roli plastra okretowego tj. materiału, którym zatyka się dziury. Działę się, że dopiero teraz rozpoczynają się tutaj takie silne ataki. Warto byłoby zacząć od rzeczy istotnej: od dyskusji nad programami. Przedyskutujmy programy, a potem będziemy proponowali co i jak ma tam być”.

Postawienie sprawy — całkowicie racjonalne.

III.

Zabrała głos wiceminister Dembińska. Dobrze wiedziała co chce powiedzieć, ale zmierzała do tego powoli i chłodno. Mówiła potocznie, myśli ujmowała zgrabnie, działała cełnym urokiem. Na pewno nie czuła się w jaskini lwa.

W rezultacie dowiedzieliśmy się, że Ministerstwo Oświaty przygotowuje nowe wytyczne do programów, według których mają być układane podręczniki. Dowiedzieliśmy się, że wzduż prac nad nowymi programami i podręcznikami toczy się o nich będzie dyskusja w prasie. Dowiedzieliśmy się, że Ministerstwo przedstawi naszej Sekcji swoje wytyczne i powiadomi Sekcję o motywach, jakie nim kierowały przy opracowywaniu wytycznych. Dowiedzieliśmy się, że w sprawie podręczników czytankowych uznaje Ministerstwo konieczność współpracy z Sekcją literatury dziecięcej i młodzieżowej. Czyż można było otrzymać wiadomości lepsze?

Zebranie odbyło się zeszłego roku zimą. Wiceminister Dembińska zapowiedziała, że nowe programowe wytyczne będą gotowe w lecie przyszłego roku. Chodzi o to, żeby w nową sześciolatkę wejść z podręcznikami nowymi, a literaci muszą mieć czas na opracowanie tematów, które wyłonią się z programów nowych. Wiceminister Dembińska podała nam więc coś w rodzaju harmonogramu prac.

IV.

Nawet najświetniejszy pedagog nie zdziła nic, gdy podręcznik straszny.

Tak się złożyło, że wkrótce po zebraniu odbył się przez naszą Sekcję, wyjechał do Warszawy i na etapach mojej podróży napotykałem nauczycielki i nauczycieli. Zadawałem pytania. Ujemne sądy naszych sekcjantek i sekcjantów potwierdzały się całkowicie.

Nauczycielka pracująca na wsi opowiadała, że wobec czytańek, w których jest mowa o urządzeniach nowoczesnych, o odkryciach nowoczesnych, dzieci skarżą się: „ale nie wiemy jak to wygląda!” i proszą: „chcemy to zobaczyć!”

Nauczycielka dodała: może w miastach mają dzieci sposobność widzieć na ulicach, w oknach wystawowych i na tyłach innych miejscach zdobyć nowoczesne i dzięki temu wyobraźnia ich jest przystosowana do przyjmowania opisu

Zasługi astronomiczne Kopernika nie konczyły się jednak na rozważaniach teoretycznych. Odczuwał potrzebę związku teorii z praktyką i dlatego gorliwie obserwował. Obserwacje jego stały się podstawą, na których oparł sporządzone przez siebie tablice położenia planet, dokładniejsze i dogodniejsze od tablic dawniej ogłoszonych. Cieszyły się one wielkim uznaniem u wszystkich astronomów, nawet u astrologów, bo lepiej pozwalały obliczać położenie planet.

Mimo jednak wielkich astronomicznych osiągnięć Kopernika, przyjęty przez niego aksjomat, że ciała niebieskie mogą się poruszać tylko po kołach ruchem jednostajnym, stał się w jego dociekaniach czynnikiem hamującym. Wprawdzie teoria ruchu planet została oparta na mocnej logicznej podstawie przez przeniesienie środka ruchu planet z Ziemi do Słońca i przez zaliczenie Ziemi do kategorii planet, jednak obserwowanych ruchów planet Kopernik nie zdołał przedstawić z dostateczną dokładnością przez kombinację ruchów kołowych. Musiał on do swych rozważań wprowadzić liczne epicykle.

W teorii geocentrycznej budowy świata, utworzonej przez Ptolemeusza, zakładano, że planety nie krążą dookoła Ziemi bezpośrednio po kołach, w których środkiem byłoby Ziemia, lecz po kręgach, których środkiem obiegają Ziemię. Te kręgi, których środki leżały na obwodach innych kół, zostały nazwane epicyklami.

rzeczy niewidzianych, ale dla dzieci wsi jest to świat nieznany, dla nich urobienie sobie wyobrażeń o tych niewidzianych nowoczesnościach napotyka przeszkody, które pokonać można tylko bardzo dobrymi rycinami, i dlatego podręczniki muszą być bardziej obrazowe. I muszą uwzględniać narzucające się dzieciom pytania.

Jednej z nauczycielek zadałem pytanie jak sobie radzi z owym wyimkiem z „Monachomachii” Krasickiego. Okazało się, że pomija go całkowicie, bo... sama go nie rozumie. I nie może pojąć jaki jest jego cel literacki i wychowawczy.

Profesor Liceum Pedagogicznego oświadczył, że podręczniki literatury polskiej przeznaczone dla dzieci 15-letnich, a i dla dzieci klas wyższych, pisane są za trudno, że byłyby dobre dla studentów uniwersytetu, a chybiają celu wobec uczniów licealnych. Dotyczy to nie tylko rodzaju wywodów, ale i rodzaju wysławiania się. „Ostrze antyfeudalnej satyry!” Dzieci nie mogą zrozumieć takich powiedzeń mimo mozolnego ich wyjaśniania. Wcale jednak nie należy sobie wyobrażać, że te dzieci są tepe lub niewrażliwe na literaturę; bardzo chętnie słuchają wierszy ładnych, a Mickiewicz i Słowacki wywołują zawsze silne wrażenia.

Od innego nauczyciela słyszałem, że gdyby mówić szczerze, należałoby stwierdzić ucieczkę dzieci od czytańek; stroną one od czytankowych podręczników, a sięgają po dziecięce pisemka. Są szkoly, które uwzględniają to zjawisko i stało się w nich zwyczajem, że lekcje polskiego języka przerabiane są nie na podręcznikach, lecz na pisemkach.

Podręczniki — widma!

Ale co jakiś czas pojawiały się w mojej wyobraźni wiceminister Dembińska, a wtedy widma zapadały się — zakłęte różdżką ministerialną.

V.

3 maja br. ukazał się w „Trybunie Ludu” artykuł, w którym czytaliśmy m. in.:

„Już pobieżna analiza tegorocznych wyników nauczania, osiągniętych w pierwszym półroczu, wykazuje poważne braki; niepokojące są zwłaszcza niedostateczne postępy w nauczaniu języka polskiego... Słaba praca w zakresie ćwiczeń w mowie i pisaniu, wynikająca zarówno z braku instrukcji w tej mierze, jak i z winy nauczycieli, spowodowała że ilość ocen niedostatecznych z języka polskiego wzrosła w ubiegłym półroczu w szkołach podstawowych o 4 procent”.

Zjawisko to słusznie nazwała „Trybuna Ludu” niepokojącym. To co niepokoi, niekiedy też alarmuje.

VI.

Prace Sekcji literatury dziecięcej i młodzieżowej będą wkrótce przewracane na okres wakacyjny, wyznaczone już jest zebranie ostatnie, a Sekcja nie otrzymała dotąd z Ministerstwa Oświaty nowych wytycznych w sprawie czytankowych programów; nie otrzymała ich, mimo że wiceminister Dembińska zapowiedziała je na lato br.

Niewierność harmonogramom miewa też skutki. Może zdarzyć się, że literaci zbyt późno staną przed czytankowymi zadaniami, i albo nie będą mogli ich wykonać, albo wykonają je źle. A wtedy nasza Sekcja, krytykując winowajców zaszędziały w Ministerstwie Oświaty, znowu komuś może wyda się jaskinią lwa.

Powiedziałem to nie lwim rykiem i nie proszony ani przez kolegów lwy, ani przez koleżanki lwice.

Tadeusz Peiper

Istota pracy Kopernika

(Dokończenie ze str. 1-ej)

a co gorsza, Słońce nie znalazło się we wspólnym środku wszystkich dróg planetarnych. Zasada ruchu planet w teorii Kopernika była niewątpliwie prostsza niż w teorii Ptolemeusza, jednak trzeba stwierdzić, że liczba kół, które Kopernik musiał wprowadzić do wyjaśnienia obserwowanych ruchów wszystkich planet wraz z Ziemią niewiele była mniejsza od liczby kół, jaka występowała w teorii Ptolemeusza.

Pozostawienie przez Kopernika w swej teorii zasady ruchu jednostajnego po kołach wynikało z jego przekonania o harmonii panującej we wszechświecie. Takie przekonanie było właściwe umysłom starożytnych, udzieliło się też Kopernikowi jako humaniście będącemu pod wielkim wpływem kultury antycznej. Na samym więc początku w Komentarzu uczynił założenie ruchów jednostajnych po kołach i założenia tego konsekwentnie trzymał się przez całe życie.

Zasadą tą objął również Ziemię, obejmując przeto swą jednolitą teorią cały wszechświat, w którym Ziemia nie zajmowała odrębnego stanowiska od innych ciał niebieskich.

Eugeniusz Rybka

Przewodniczący Komitetu Astronomii PAN

(Fragment pracy przygotowanej dla PAN).

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

DO JULIUSZA I ETHEL
MAŁŻONKÓW ROSENBERG
w więzieniu Sing-Sing

Do Was, którzy jesteście sumieniem swego narodu,
jego honorem i dumą — wyżsi nad pomnik wolności,
do Was, swobodnych za kratą i groźnych chociaż bez broni,
ja syn polskiego narodu, jak i Wy zawsze gotowy
życiem zapłacić za prawdę, zwracam te słowa braterskie,
pisane krwią mego serca, najprostsze, ludzkie wyrazy:
— Na prochy matki przysięgam, nie ustaniem w walce!...

Wiem, że do Was docleją, bo nie ma granic i straży,
któreby mogły zatrzymać słowa wolnego poety
jak białe gołębie nadzleć, puszczane z rozwartych dłoni.

Wiele jest jeszcze lotostwa na ziemi, którą kochamy
i wiele, wiele podłości, lecz brask w żrenicach nie gaśnie
ale się jeszcze rozżarza, gdy mstwo nie zgina kolan.
Wytrwajcie! Wyrok nikczemny — to powróz na szyi sędziego,
który sam sobie założył... Już waży się szale ogromne.
Starczy, by stołek pod stopą potrafił... Wytrwajcie! Wytrwajcie!

PRZEPROWADZKI

(Dokończenie ze strony 1-ej)

stego — to błoto. Każdy deszcz zamieniał nowohutnicką glebę w rzadką, śmietankową maź, posiadającą te złośliwe cechy, że jej głębokość była często większa od długości buta z cholewkami. Buty wchodziły w tę zupe z zupełną łatwością, ale z powrotem było gorzej... Tymczasem hotelowe bloki zapełniały się błyskawicznie chłopami województwa krakowskiego czy rzeszowskiego, którym budowa wielkiego Kombinat u umożliwiała gruntowną zmianę warunków bytu. Nieliczne kadry robotników budowlanych z radością zamieniały stare mieszkania w pokapalistycznych ruderach przedmieść różnych miast i miasteczek na mieszkania w Nowej Hucie. W Krakowie na Grzegórkach robiło się coraz ciśniej i ciśniej aż wreszcie stało się jasne, że na więcej mieszkań nie można tam liczyć. Postanowiono specjalistów lokować również — razem z robotnikami w Nowej Hucie. Specjaliści przyjeżdżali. Ale kandydat na budowniczego Nowej Huty na wiadomość, że mieszkanie dostanie w Nowej Hucie oświadczył, że zapyta się żony i... zniknął.

Nadszedł maj 1951 roku. Pierwsze dwie kolonie osiedla A-1 zajęli już młoda trawa, pierwsze sklepy, apteka, poczta miały być „lada dzień” czy miesiąc uruchomione — widać już było mury żłóbka i przedszkola, a pierwsza szkoła była już, już — prawie gotowa. Ba! W planie było nawet prowizoryczne targowisko. Ale na razie panowało wszechwładne błoto.

*

Od tamtych dni upłynęły dwa lata. W mieście funkcjonuje już poczta, kilka żłobków, przedszkoli, szkół, barów mlecznych i zwykłych, restauracji; szesnaście zakładów krawieckich, szewskich, fryzjerskich itp. i 46 sklepów różnych branż obsługujących trzydziestotysięczne miasto, ulokowane jest — nie jak dawniej — w izbach mieszkalnych, ale nowoczesnych, specjalnie na ten cel projektowanych i zbudowanych pomieszczeniach. Zielone są wszystkie z osiemnastu Kolonii Osiedla A-1, Osiedla A-2 i A-3. Trawa zaczyna ożywiać zespoły mieszkalne Osiedla C-1 i C-2. Wykonano już większość nawierzchni asfaltowych i betonowych. Co dziesięć minut ze środka miasta odchodzi tramwaj do Krakowa, a krakowskie teatry występują w barakowym (na razie teatrze „Nurt” na Osiedlu B-1 kilka razy na tydzień. Czynne są dwa kina, wykończa się pierwsze boisko sportowe. W tym roku zawitał do nas pierwszy cykl.

Czy teraz dużo mieszka u nas inżynierów?

Mieszka ich znacznie mniej, niż się zgłasza z prośbą o przydział mieszkania w Nowej Hucie. Po prostu nie ma tych mieszkań. Siły techniczne wykonawstwa, nadzoru, hut, pracowni biur projektowych stanowiący kadre inwestycyjną i eksploatacyjną Kombinat u i miasta są już mieszkańcami Nowej Huty — albo ubiegają się o ten tytuł. O Krakowie czy Grzegórkach dawno już nie pamiętali. I nie jest wyjątkiem przykład inżyniera Nagórskiego, który podjął jeden mały pokój u murarza, mieszkańca Nowej Huty i tam przeciekał z żoną i dwójkiem dzieci sakramentalne 3 miesiące okresu próbnego, po którym dopiero uzyskał mieszkanie. Chciał być prędzej w Nowej Hucie.

Ale były ciekawsze nawet przeprowadzki.

Miasto i Kombinat buduje się na gruntach należących do kilku sąsiednich wsi. Niemal w każdej chałupie rozlokowały się grupy robotników przyjeżdżających i gospodni dokładała co dzień — do zarobków meza dochody za kwaternunek, mleko, ser... Bywało, że i chłop rzucał pracę — bo taki handel lepiej czasem się opłacał. Ale budowała naprzód. Przychodził wreszcie taki dzień, gdy po przewlekłych dochodzeniach prawno - hipotecznych

w zagrodzie zjawiał się urzędowy papier, z którego treści wynikało, iż chałupa wraz ze stodołą musi być rozebrana w ciągu określonego czasu. I wtedy zaczynały się protesty. Nie pomagało komisijnie ustalone odszkodowanie, z reguły nie przyjmowano zamiennego i znacznie bogatszego gospodarstwa na zachodzie. Niemal każde przesiedlenie „odw” kano urzędowymi sprzeciwami, a po przejściu wszystkich instancji, mimo całej poważnej pracy uświadamiającej o konieczności i słuszności tego postępowania, bywały niekiedy próby — szczególnie wśród zamożniejszych gospodarzy — gwałtownego sprzeciwu.

W wypadkach takich starano się najdłużej zostawić „oporną” chałupę wśród budowy, gdyż był to najlepszy sposób przekonywania o nieuchronności przeprowadzki. Wreszcie chłop się poddawał, ale i to nie zawsze gładko. Pamięamy do dziś, jak do budynku Nr 45 na Osiedlu C-2 przeznaczonego dla przesiedlonych, przenosił się wreszcie jeden z najoporniejszych gospodarzy wsi Krzesławice. Ale przenosił się nie tylko z rodziną. Do drzewka przed oknem przywiązał konia i krowę, a do piwnicy wprowadził całe stado świń. Nie pomagały sprzeciw administracji i głośne pretensje wcześniej przesiedlonych współmieszkańców bloku, zmuszonych w środku upalnego lata — do uprzykrzonego sąsiedztwa.

Ale już po tygodniu nie było w bloku Nr 45 krowy, konia, kozy i świń, nie było nawet kur — a najmłodszy 18-letni syn — pracowł w Kombinacie. Potem do pracy poszła córka, wreszcie zaczął pracować ojciec. A kiedy przed jesienią — Dzielnicowa Rada Narodowa zorganizowała wielkie zebranie mieszkańców Osiedla C-2 poświęcone warunkom bytowym mieszkańców tej części miasta — nasi przesiedleni brali w nim oczywiście żywy udział. Co mówili? Pamiętam, że żona owego „opornego” — ubrana jeszcze jak wiejska gospodyni — pokłiwała głową: „Trudno, że za dwa tygodnie będzie gaz, bo dłużej nie można by bez niego wytrzymać!”

*

Do nowego miasta przeprowadzili się nie tylko ludzie. W miarę zagospodarowywania poszczególnych dzielnic — osiedli, zaczęli się pojawiać nowi jego mieszkańcy — drzewa — w różnym (najczęściej szkolnym) wieku. Ale przeprowadzka jednego jesionu, liczącego sobie (według ścisłego wyliczenia inż. Górskiego) równo 25 lat życia — to była już cała historia. Najpierw trzeba było sobie uważnie przeczytać, jak to takie flancowanie wykonywano w Związku Radzieckim. Potem długo wybierano w sąsiednim lasku Mogińskim odpowiedniego kandydata, rosnącego w niewielkim ścisiku i w podobnej jak ta, do której miał być przesadzony, glebie. Potem, po długich naradach (jak go najlepiej w lesie okopać? Czy zamrażać odstojony z boków blok ziemi? Czy odeskować w skrzynię? Jak podciąć pętlę z drutu?) załadowano na przyczepę. Był luty. Za jesiennym jadącym uroczyste na swoje nowe miejsce pobytu przed blokiem Nr 56. Jak za porzebem kroczyło 3-ch inżynierów, kilku majstrów, robotników i jeden dyrektór Rvta to nowa próba. Wszyscy martwili się: czy to pierwsze dorosłe drzewo się przyjmie?... Wszystkie przeprowadzki się u dały.

W Nowej Hucie „przyjęli” się biura urzędów, mieszkania robotników, inżynierów i przesiedleńców, przyjęli się pierwsi naukowcy (dwaj archeolodzy), przyjęli się jesion i wypuścił wiosną pierwsze paki...

Nie przyjęli się tylko do tej polityki artyści. No i literaci.

Stanisław Zralek
Naczelný Dyrektor Ziełoczenia
Budowy Nowej Huty

SAMUEL SANDLER

Przeciw znizeniu ideału w literaturze

Fragment poniższy stanowi część rozdziału z monografii o Bronisławie Białoblockim — pierwszym polskim marksistowskim krytyku literackim, zmarłym w roku 1888 w wieku 27 lat (dokładnej daty urodzenia nie znamy).

Białoblocki urodził się w Ostroszynie pod Słuckiem, na Białorusi, w polskiej, drobnoszlacheckiej rodzinie kalwińskiej. Do gimnazjum uczęszczał w Mińsku, gdzie znalazł się pod wpływami rosyjskich rewolucjonistów — „narodników”. W roku 1878 udał się na studia do Petersburga bez jakichkolwiek środków materialnych. Utrzymywał się z korepetycji. Studiował na Wydziale prawnym oraz uczęszczał na wykłady do petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. W środowisku studenckim związał się z młodzieżą rewolucyjną podlegającą wpływom utopijnego socjalizmu i ideologii narodnickiej.

W roku 1883 przybył do Warszawy wraz z grupą swych towarzyszy czynnie uczestniczących w działalności powstającego „Proletariatu”. Ewolucja ideowa Białoblockiego przyniosła go na pozycję naukowego socjalizmu. Do Warszawy przyjechał z wytkniętym celem stworzenia grupy literacko-publicystycznej, która miała w myśl jego zamierzeń propagować ideologię socjalistyczną na łamach własnego organu legalnego bądź też korzystając z listniejących pism.

Wśród członków grupy, która powstała z inicjatywy Białoblockiego znaleźli się — wówczas studenci Uniwersytetu Warszawskiego — Ludwik Krzywicki i Stanisław Krusiński.

W roku 1883 grupa ta zaczęła drukować artykuły w znanym czasopiśmie — „Przegląd Tygodniowy”. Wszyscy członkowie grupy pozostawali równocześnie w ścisłym kontakcie z czołowymi działaczami „Proletariatu”: Ludwikiem Waryńskim, Stanisławem Kuniekim oraz Edmundem Płoskim i Aleksandrem Dębskim, którzy byli najbliższymi przyjaciółmi Białoblockiego.

W „Przeglądzie Tygodniowym” Białoblocki ogłosił poza artykułami publicystycznymi kilkanaście prac krytyczno-literackich o pisarzach polskich i rosyjskich. Pisywał o ile nam wiadomo — do czasu upadku Wielkiego Proletariatu, to jest do 1885 r. Grupa, która z jego inicjatywy powstała, została w połowie 1883 r. rozproszona, wskutek represji carskich władz.

Białoblocki chorował w ostatnim okresie życia na płucę i serce. Chorób nabawił się w wyniku wyjątkowo ciężkich, w niektórych okresach głodowych, warunków życia.

W roku 1932 Ludwik Krzywicki wydał tomik szkiców literackich Białoblockiego uwzględniając tylko części dorobku pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego w Polsce. Niektóre artykuły pominał, innych zgoli nie znał.

Monografia, z której pochodzą poniższe fragmenty, ukaże się w serii studiów historyczno-literackich Instytutu Badań Literackich PAN.

Gdy na przywódców „Proletariatu” kładzie się ciężka łapa żandarmskiej przemocy zaborczej, gdy staje przed nim widmo Szlisselburgu, katorg i ezubienie — przeciwko zohydowaniu ich walki i ideałów podnosi się głos pierwszego naszego marksistowskiego krytyka literackiego, który otwarcie przemówił w ich obronie w *Znizeniu ideału* — najwybitniejszym szkicu z całego jego dorobku.

Dziś tożsamość tego szkicu jest bardzo wielostronna. Jest on jednym z najistotniejszych w walce politycznej, jaką toczył Białoblocki na terenie krytyki literackiej; jest również nader cennym dokumentem stanowiska pierwszego naszego marksistowskiego krytyka literackiego wobec współczesnych zjawisk literackich, jego stosunku do dziedzictwa literackiego przeszłości.

Znizeniem ideałów społecznych i moralnych nazywał on zjawiska literackie, jakie zaobserwował w literaturze polskiej. Skala wartościowania ideowych tendencji literatury wyrasta u niego z doświadczeń rewolucjonisty i z doświadczeń krytycznej działalności krytycznoliterackiej. Na tym gruncie stwarza normy, formułuje postulaty.

Czy formuła „znizenia ideału” w literaturze jest słuszną? Czy słuszne są jej przesłanki?

Oto pierwsze pytania, które się narzucają, skoro uprzedzimy sobie, że lata, do których Białoblocki odnosi swoją ocenę, uważamy słusznie za okres szczytowych osiągnięć literatury popowstaniowej. Rozczarowanie pisarzy — ideologów pozytywizmu oraz wystąpienie proletariackiego ruchu rewolucyjnego, w którym uczestniczy Białoblocki, przynosi w okresie do wystąpienia Żeromskiego najważniejsze osiągnięcia realistyczne pisarzy.

Odpowiedź otrzymamy po szczegółowym zanalizowaniu szkicu.

Dwa są punkty wyjścia rozważań Białoblockiego. Krytyk wychodzi od analizy panujących mieszczańskich ideałów, których literatura jest — jak powiada — wyrazem. Pole zwiększającej walki o byt, wszechwładzy interesu osobistego i egoistycznej pogoni za własnym szczęściem oraz dziedzina panowania „cnoty”, „altruizmu”, społeczeństwa i „kącik rodzinny” — tak mieszczańskie widzi swoje miejsce w życiu, takie pojmowanie pozycji moralnej określa mu społeczeństwo kapitalistyczne. Z ja-dowitą pogardą uderza Białoblocki w tę mitologię życia. „Z dala od ziemi ku światowemu — pisze — od walk ciągłych, areny, gdzie ludzie nie są wzajemnie siebie wspierającymi braćmi, lecz wrogami zaciętymi, li tylko nad tym myślącymi jakby jeden drugiego zepchnąć z lepszego na podziębienie stanowisko i samemu nad nim stanąć; z dala od wirów egoizmu, podstępów, fałszu, obłudy, często mordu i krwi — jest schronienie ciche, schłodzone, gdzie nas nie obryzga błoto występku, gdzie się ukoi serce nasze zbolełe od nieustannych obrazów nędzy i poniżenia ludzkiego, widokiem szczęścia, miłości i oddania się wzajem. Tam szczęście, chociaż ograniczone, jest ciśniejszym kółkiem, ale za to my wielimy się w to kółko jako organizm, dzielimy najzupełniej jego dole, a wtedy ono zasłoni przed nami ból i try całego świata i szczytów naszej ku ogółowi miłości wynagrodzi beziarem poświecenia i troską o nasz spokój i nasze dobro. To koło — matka, ojciec, czuli małżonkowie z dziećmi swoimi, bracia i siostry — jednym słowem, rodzina skromna, pracowita, oszczędna, mieszczyńska w matym, lecz schłodnym domku wy-cackanym staraniami chędogiej gospo-ki, kochającej żony i troskliwej matki. Tyle szczęścia i spokoju, ile się go znajduje w rodzinie, poza tym obrębem na próżno go szukać” (*).

Te normy i wzory życia wytworzyło społeczeństwo burżuazyjne w swej fazie przedimperialistycznej, w okresie „spokojnego”, „ewolucyjnego” rozwoju, wolnym od „burz” i katastrof. Białoblocki atakuje nie tylko ciasnotę tych pojęć, ale wskazuje wyraźnie na ich niehumanistyczny charakter.

Nakreślony z głęboką pasją demaskatorską ideał życia „strasznych mieszczań” zamyka sarkastyczną uwagę: „Czyje zaś serce boli na widok nędzy materialnej całych mas lub na widok nędzy moralnej, ten na równi z pijakiem karceznym, awanturnikiem, obwieżniętym — szczęścia nigdzie nie znajduje...”

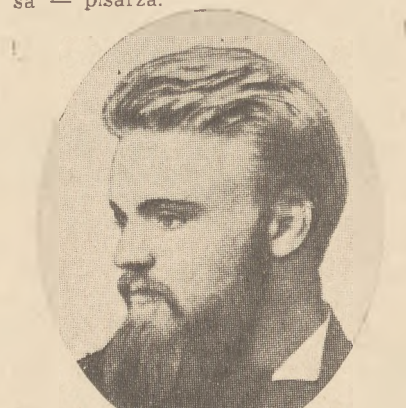
Jak przyjmują panujące idee moralne pisarzy?

Białoblocki jest daleki od generalizującego ułotzamiannia kulturowej moralności z przekonaniami pisarzy, którzy chcą i mogą spojrzeć na spo-

*) Br. Białoblocki: „Znizenie ideału”, „Przegląd Tygodniowy”, Nr 7/1884. Wszystkie cytaty pochodzą z tegoż artykułu.

łeczeństwo, jego losy i sytuację — inaczej niż z pozycji „cichego schronienia”. Nie patrzył tak na życie swego narodu — stwierdza — „wulcaniczni romantycy”. I choć tradycyjnie nazywie Białoblocki „Wielką Improwizację”, najwspanialszym wykwitem poezji polskiej w ogóle i poezji Mickiewicza w szczególności, choć Syrokomli nada konwencjonalny przydomek „skowronka nadniewieńskiego”, urobiony przez pozytywistyczną historiografię, wskazuje jednak, że najwyższe ideały moralne reprezentowała rewolucyjna poezja romantyczna. Te ideały w warunkach, w jakich pisał Białoblocki można było tylko nazwać ogólnie, nawet nieco banalnie. Krytyk tak je formułuje: „szczęście jednostki zależy przede wszystkim od szczęścia ogółu”. W innym wariancie zasada ta brzmi znowu ogólnikowo, ale przecież przejrzyście. „Szczęście jednostki jest nierozdzielnie związane ze szczęściem społeczności, a szczęście tejże jest nierozdzielnie związane z człowieczeństwem...” O zasadzie tej powie Białoblocki, że „jest to ideał... epoki romantycznej”, obecnie zaś głosi go w sposób naukowy i praktycznie osiągalny „młode pokolenie”. Nazwa „młode pokolenie” była pod czujnym okiem zaborczej cenzury kryptonimem nowych kierunków ideowych, obozów politycznych. Tym razem posłużyła za określenie rewolucyjnego ruchu robotniczego.

Białoblocki podejmuje obronę sformułowanego tu ideału społecznego, który w jego przekonaniu zaczyna uchodzić uwagi pisarzy współczesnych. Upatruje to w serii powieści antysocjalistycznych, które wyszły spod pióra wybitnych pisarzy tego okresu: Orzeszkowej, Kraszewskiego, Bałuckiego. Widma, Sylwek Cmentarnik, Szalona są dla niego znanymi objawem zwrotu, jaki się dokonuje w literaturze polskiej. Ocena tego zwrotu wiąże się ściśle z poglądami Białoblockiego na aktualne tendencje rozwojowe społeczeństwa polskiego i na tradycję naszej literatury. Jeszcze do niedawna — twierdzi Białoblocki — w literaturze „poziom naszych pojęć o szczęściu był na tej wysokości”, na której jedność interesów narodowych i jednostkowych nie były ze sobą w sprzeczności. Reprezentowała ją wielka literatura romantyczna. Mieszczańskie pojęcia o szczęściu były przez nią odrzucone. Dowodzi tego twórczość przede wszystkim Mickiewicza. Nawet Krasinski „obrucza pogardą ideał szczęścia mieszczańskiego”, Syrokomla w *Niewinnej duszyczce*, „rzucił może najpotężniejszy w naszej literaturze sarkazm na szczęście mieszczańskie”. Ideały te są w przekonaniu Białoblockiego „obec wielkiej narodowej literatury polskiej”. Dominowały w niej przekonania, że „szczęście jednostki jest ściśle związane z dołą ludzkości”. Nie patrzył tak na życie swego narodu — stwierdza — „wulcaniczni romantycy”. I choć tradycyjnie nazywie Białoblocki „Wielką Improwizację”, najwspanialszym wykwitem poezji polskiej w ogóle i poezji Mickiewicza w szczególności, choć Syrokomli nada konwencjonalny przydomek „skowronka nadniewieńskiego”, urobiony przez pozytywistyczną historiografię, wskazuje jednak, że najwyższe ideały moralne reprezentowała rewolucyjna poezja romantyczna. Te ideały w warunkach, w jakich pisał Białoblocki można było tylko nazwać ogólnie, nawet nieco banalnie. Krytyk tak je formułuje: „szczęście jednostki zależy przede wszystkim od szczęścia ogółu”. W innym wariancie zasada ta brzmi znowu ogólnikowo, ale przecież przejrzyście. „Szczęście jednostki jest nierozdzielnie związane ze szczęściem społeczności, a szczęście tejże jest nierozdzielnie związane z człowieczeństwem...” O zasadzie tej powie Białoblocki, że „jest to ideał... epoki romantycznej”, obecnie zaś głosi go w sposób naukowy i praktycznie osiągalny „młode pokolenie”. Nazwa „młode pokolenie” była pod czujnym okiem zaborczej cenzury kryptonimem nowych kierunków ideowych, obozów politycznych. Tym razem posłużyła za określenie rewolucyjnego ruchu robotniczego.



wg. współczesnej litografii
Bronisław Białoblocki

Białoblocki nadaje wymienionym pisarzom piękny przydomek „zapaśników dobra powszechnego”, wyraźnie wyciąga do nich rękę ze strony „młodego pokolenia”. Z uznaniem wskazuje na elementy krytyki społecznej, jakie zawarte są w ich twórczości. Orzeszkowa jest dlań „najwięcej utalentowaną” powieściopisarką, Bałucki — „sympatyczny dla nas z wielu postępowych poglądów”, Kraszewski jest w *Chacie* ze usią dzielnym i śmiałym. W *Moritur* „jeszcze jako tako”. Orzeszkowej powie, że „honoru swego pokolenia bronia”. Lecz mimo wszystkich literatury polska zniżyła, jego zdaniem, swoje ideały, dostraja się do ideału szczęścia mieszczańskiego. Białoblocki ściśle wiąże te zjawiska z sytuacją narodu polskiego po klęskach powstania styczniowego. Nie może tego oczywiście wypowiedzieć zupełnie otwarcie, ale aluzje są dostatecznie jasne. „Społeczeństwo nasze — pisze — wskutek rozumem poetyckich warunków zawarł kompromis z rzeczywistością, obniżając poziom swych praktycz-

Ze studiów nad twórczością krytyczną B. Białoblockiego

nych wymagań... Orzeszkowa i Jeź godząc się z twardą rzeczywistością — jednakże ideał moralny starali się utrzymać na wysokości”.

Białoblocki wskazuje również, że znizenie moralne ideału „naszej inteligencji” było „naturalnym wynikiem przejawów społecznych poglądy obniżenie poziomu naszych aspiracji życiowych. Ludzie pragnący wiele, mimo woli, jeżeli nie życie, to przynajmniej swoje przekonania moralne dostrajali do wysokości swych żądań, natomiast zawiadzeni zapragnęli jako jedynego szczęścia, by ich w spokoju zostawiono. Do tego poziomu spadł ideał moralny”.

Spróbujmy rozszyfrować te aluzje, zawarty jest w nich nowatorski pogląd na zagadnienia rozwoju ideologii w Królestwie Kongresowym, w szczególności na narodowy i rozwój ideologii pozytywistycznej. Białoblocki pojmując, że ideologia „pracy organicznej”, „pracy od podstaw” była w swojej istocie programem burżuazyjnym (ta myśl przewija się przez cały szkic), ale równocześnie była rezultatem koniecznym po doświadczeniach bezowocnego powstania. Sugestia Białoblockiego brzmi: nie należało wyrzekać się walki narodowo-wyzwolenczej (opinia o Orzeszkowej i Jeżu, który godząc się z twardą rzeczywistością, pozostali wierni sprawie walki narodowo-wyzwolenczej), lecz aktualnie nie było wówczas możliwości realnych jej powtórnego podjęcia. Protest Białoblockiego pojawia się wtedy, gdy owa „twarda rzeczywistość” zaczyna być idealizowana, „Największym poziomem ze starszych naszych powieściopisarzy pod względem ideału szczęścia — twierdzi autor *Znizenia ideału* — jest Zachariasiewicz”. „Wynalazł on „odpowiednią moralność”, idealizującą „aplikantów sądowych” marzących o społecznej działalności wtedy, gdy będą mieli „z półtora tysiąca rubli pensji”, moralność idealizującą szlachtę, jako swoistą przodowniczkę ludu.

Jest w tych aluzjach wypowiedziach Białoblockiego jeszcze jedna ważna sugestia, dotycząca oceny ideologii i literatury pozytywistycznej. W przekonaniu pierwszego krytyka marksistowskiego literatura tego okresu stanowi niewątpliwie regres w stosunku do „epoki romantycznej”. „A jednak — rozwija Białoblocki — fakt jest, że pokolenie, które nas, obecnie wstępujących w szranki literackie, wykołysało, obniżyło ideał szczęścia.” Nie trzeba chyba wyjaśniać, jaka treść przez cały ciąg szkicu autor podkłada pod pojęcie „ideału szczęścia”. W tym moralizującym pojęciu zawarł krytyk zagadnienia społeczne i polityczne, sprawę walki narodowo-wyzwolenczej i walki o wyzwolenie

uciskanych mas. Za kontynuatora ideału „wulkanicznych romantyków” Białoblocki uważa rewolucyjny ruch proletariacki. Wie, że nie jest to prosta kontynuacja, idee te są „naukowo pojęte i w praktyce inaczej zastosowane”.

Ale wskazania, że rewolucyjny ruch robotniczy nie odcina się od wielkiej tradycji idei dziedzicznych z przeszłości narodowej, że podejmuje je i rozwija, jest jedną z najcenniejszych sugestii, jakich dostarcza szkic.

Dalszą niezwykle interesującą sugestią jest stwierdzenie, że literatura polska około roku 1880 uległa dalszemu regresowi, jeśli chodzi o „starsze falangi naszych literatów widocznie powzięły specjalny zamiar obniżenia społecznego ideału”. Faktami świadczącymi o tym są wspomniane już tu utwory: *Szalona*, *Widma*, *Sylwek Cmentarnik*, *Bańki mydlane* itp. „Jednym słowem — komentuje ironicznie Białoblocki — powstał widocznie stały kierunek obiecujący i na przyszłość rodzici właściwe owoce. Oby on nie był ostatnim wyrazem pokolenia, na miejsce którego już obecnie występuje świeży zastęp sił literackich”.

Tu jedno wyjaśnienie: gdy dzisiejszy czytelnik sięga do wymienionych książek, uwaga jego nie skupia się na antyrewolucyjnych tendencjach w nich głoszonych, lecz na bogactwie obserwacji społecznej. Traci swoje znaczenie społeczne niewątpliwie wsteczna funkcja, jaką miały spełniać lub spełniały owe utwory, żywe pozostały ich wartości realistyczne. W okresie nagłoni politycznej, dziennikarskiej i literackiej przeciwko ruchowi rewolucyjnemu było wręcz odwrotnie. Dominujące było znaczenie społeczne tendencji antyrewolucyjnych tych powieści. Na nich też skupia swą uwagę pierwszy nasz krytyk marksistowski.

W czasach Białoblockiego domowy one w społecznym odbiorze powieści wymienianych przez krytyka. Dziś dla nas rola tego czynnika nie ma istotniejszego znaczenia. Pomijając go, bierzemy z tych utworów ich rzeczywiste, realistyczne wartości. Dlatego też między naszymi współczesnymi sądami a sądami Białoblockiego nie ma sprzeczności, jest tylko zasadnicza różnica, którą sprawili dzieł. Krytyk miał najzupełniejszą rację atakując te powieści. W jego czasach były dla ruchu rewolucyjnego szkodliwe. Ich krytyka jest cennym elementem działalności Białoblockiego. I można powiedzieć nie tylko jego pasję, obronę idei rewolucyjnych, ale także szlachetną wielkoduszność, z jaką polemizował z wybitnymi pisarzami okresu, zwłaszcza z Orzeszkową. W ich atakach na socjalizm widział tylko głębokie zawiłania ideologiczne. Nie chciał traktować tych, których nazywał „szlachetnymi zapaśnikami o dobro ogółu” — jako ideowych reprezentantów mieszczańskich dorobkiewiczów i filistrów. Nie kładł znaku równości między eksploatorskimi klasami a twórcami kultury, gdy ci nawet podlegali naporowi ideowemu tych klas. Czynniki gorzkie zarzuty Orzeszkowej, tym pełniejsze gorzkości, że był bardzo świadomy klęsk i gwałtów, jakich doznawał w tym czasie polski ruch rewolucyjny. „Pani Czeszko-wa — pisał — dźwierz wysoko poziom moralności społecznej, dlatego też koło niej kupi się młode pokolenie. Lecz nie ono rozzytywało się w znanym jej romansie *Widma*, tylko szlagoneria, która z prawdziwą rozkoszą dotychczas wytyka przy każdej sposobności młodzieży: „patrzcie, co o was mówi wasza przodowniczka”.

Przedowniczka „młodego pokolenia”, tak jak je pojmował Białoblocki, Orzeszkowa nigdy nie była. Ale w tragicznym dla „Proletariatu” okresie i tego argumentu użył krytyk w apelu o zaniechanie zohydowania idei socjalizmu i jej bojowników. Bo szkic *Znizenie ideału* jest w gruncie rzeczy apelem. Białoblocki potrafił uszanować nawet fałszywie pojętą „służbę społeczną, która rozdziła owe utwory, nie oszczędza jednak złudzeń. Nie odżegnaje się od dyskusji, żąda tylko, aby pisarze umieli uszanować „proportce młodego pokolenia”, na których wypisane są hasła walki o „szczęście ogółu”. Już to samo powinno pisarzy tych czynić w przekonaniu Białoblockiego bliższymi „młodemu” niż reprezentantom ideałów „szczęścia wyodrębnionego, zastalego, zakopanego”, ideałów sobkostwa mieszczańskiego”.

Krytyk jest skłonny nieraz przyznawać pisarzom, których krytykuje, więcej niż by można było przyznawać stosując „dokładną” miarę. Apeluje do ich sumień humanistów — w imię humanistycznych wartości ideałów „młodego pokolenia” — mówiąc bez osłonek: cenzuralnych, które były dla niego konieczne — w imię humanistycznych wartości socjalizmu. Apeluje do ich sumień zatroskanych o los narodu w imię troski o naród, jaką przejawiał rewolucyjny ruch robotniczy „Panowie ze starszego pokolenia — wołał — ideały nasze są bardzo pokrewne; być może, w najostrejszej konsekwencji wspólne. Nie profanujmy więc ich a wy w walce z nami nie stawiając pościwego sobkostwa jako czegoś lepszego od naszego pozytywnego, ale nie poziomu przebiegu życia. Zupewnie są sprzeczne praktyczne

MELANIA KIERCZYŃSKA

Trzy początki opowieści

Z zagadnień naszej współczesnej prozy (I)

rze zdań — przeważnie wypowiedzi w trzeciej osobie — że przeważa tu właśnie odautorska relacja, opis i opowiadanie.

Faktycznie jednakże mamy tu całkowi, wszechwładne panowanie t. zw. mowy pozornie zależnej. Co do pierwszych kilkunastu zdań powieści można by spierać się: to autor tak opisuje — nie, to postać tak widzi. Jednakże od słów: „Nie spieszył się. Pociąg odchodził wieczorem. A w domu będzie dopiero jutro rano, jeśli z Crotone tej samej nocy pójdzie piechotą. Jak go tam przynajmniej w domu, prz-je wszystkim Maria i Gianni? Matka w domu nigdy się nie liczyła” — nie mamy już żadnej wątpliwości, że to mowa pozornie zależna, przy której autor jak gdyby eliminuje siebie, otworzywszy „zielony tor” dla bezpośredniego przebiegu myśli i uczuć bohatera.

Wszechwładne panowanie tej formy wypowiedzi nie oznacza naturalnie chemicznego wyprania książki z wypowiedzi odautorskich, nieprzeczyszczonych przez pryzmat jakiejś postaci, ani tym bardziej wyprania książki z dialogu, bez którego żadna powieść się nie obejdzie. Oznacza tylko, że zarówno dialog jak autorska relacja wyłania się tu od czasu do czasu z zasadniczej miazgi, jaką jest tu mowa pozornie zależna, i w nią się znowu pogrąża.

Owo dominowanie m. p. z. (ten skrót jest konieczny, gdyż sam termin stylistyczny długi jest, niestety, i ciężki), otóż dominowanie m. p. z. decyduje tu o jednym jeszcze zjawisku: dialog, tam gdzie się zjawia, dany jest nie w całości swojego przebiegu, tylko w jakichś niewielkich cząstkach, o wyraźniejszej wadze znaczeniowej. Tak np. w rozmowie Toto z młodą owocarką, po jej pytaniu: „To czemuś tam nie został w tych miastach. Lepiej ci tam było? Jak ci tam lepiej było, to trzeba było wracać!” — następuje, zamiast dalszych odpowiedzi i pytań, drugi passus w m. p. z., który jest właściwie zamaskowanym przytoczeniem rozmowy, danej od strony replik Toto:

„Pewnie, że było lepiej niż tutaj. Odkąd go wywieźli do Australii, o nic się nie troszczył,” itd. Pod ko-

niec passusu z którego dowiadujemy się m. in., jak farmer australijski wypróbował uczciwość Toto, i jak się o jego uczciwości przekonał, pojawiają się krótkie doświadczenia. „Jak się nazywasz?” — spytał go, „Salvatore Lo Meo” — odpowiedział Toto. „A skąd jesteś?” — spytał go, „Z Rocca di Zolfo” — odpowiedział Toto. „Dobrze, ale z jakiego kraju?” — „Z Włoch, rozumiesz?” — „To niemożliwe” — krzyczał John. Tak nazywał się farmer”.

Zaś bezpośrednio dalej czytamy: „Dziwaczyna westchnęła: — Dobrze nas tam znają, widać”.

W ten sposób rozmowa, która z normalnego dialogu przeistoczyła się w jednostronne wypowiedzi Toto, dane cały czas w m. p. z., w punkcie kulminacyjnym wraca niejako do rzeczywistości; do dialogu, dla zaakcentowania smutnej sławy, jaką cieszą się robotnicy włoscy u australijskich farmerów.

Znowu nasuwa się pytanie: jaki jest istotny sens właściwości stylistycznych tej książki, czy są one zjawiskiem dodatnim czy ujemnym, czy może obojętnym, czy odpowiadają im jakieś sprawy leżące w wymiarze treściowym, i jakie?

Urodził się w Rzeku. U podstawy tej powieści leży rzekomo dokument — pamiętnik jej bohatera. Od razu pierwsze zdania akcentują obecność autora, oddzielają przedmiot i podmiot opowiadania.

„Urodził się w Rzeku w latach 1908—1910 — dokładnie nie wiem”. Tak napisał, i to wtedy, na komieji, wszystkich uderzyło. Dwa lata rodził się, czy jak?

Newerly nie tylko nie daży do wyeliminowania ze świadomości czytelnika faktu, że ma on przed sobą opowiadanie, a nie bezpośrednio dzieła się przed nim rzeczywistość, lecz przeciwnie, akcentuje wyraźnie i wielokrotnie owo materialne istnienie autora i jego udział w tworzeniu tego, co będzie podane do wiadomości czytelnika.

Tym samym mamy tu do czynienia

Melania Kierczyńska

(Dokończenie na str. 6)

MARIA KLIMAS BŁAHUTOWA

JERZY HORDYŃSKI

NOWY ROZDZIAŁ

NA OTWARCIE ŚWIETLICY PGR

Do wiosny chata Trudy Kaszycowej stała u stóp długiego zbocza. Przez całą zimę gospodyni patrzyła z okien kuchni na wyniosły garb wzgórze, jaskrawy od śniegu. Zdawało się — wypatrzeć sobie oczy. Twarz miała surową, spokojną, blade wargi zacięte, zimne. Tylko oczy pod niskim czołem paliły się blaskiem tak gorącym, że gdy zmienacka przeniosła spojrzenie na kogoś kto mówił do niej, parzyły.

W maju ludzie z budowy nowej kolei przedarli się przez wzgórze. Ciągnęli w stronę chaty szeroki nasymp pod tory. Truda wychodziła przed zagrodę. Żółta rzeka gliny i piachu przecięła jej łąki, zbliżała się, rosła. Truda drżała, zacierała nerwowo ręce, mrużyła oczy. Przyjdzie taki dzień, w którym wał kolejowy podejdzie pod ściany starego domu, przewali się przez sad, rozwinie się w długą łuk ku szosie.

W przekopie rozlegał się ryk strażaków — dynamit rwał kamienne dno, powietrze trzęsło się od huków, dygotała ziemia. Truda opierała się o pień wielkiej topoli. Drzewo syptało deszczem bazi, długich i rozowych jak gasienice. Kiedy spod echa strzałów wydobywały się powszednie głosy dnia: śpiew skowronków, zaplątanych w błękit nad polami, gwar koparek mechanicznych i śmiech chłopców z brygady SP, krzątających się przy budowie wału — Truda odchodziła do chaty.

W kuchni siedział na niskiej reżce Antoni Wieja. Ssał fajkę i mruzczał:

— A to byście raz posłuchali dobrej rady... Dają wam za to, co wasze, gospodarke jak się patrzy, to brać... Z kolejną nie wygracie, Wybudują.

Truda płukała kartofle dla krów. — Jak jak nie wezmę, to co? Zaspiać mi?

Wieja trząsł głową, milczał. Truda jęczała:

— Żył człowiek przed się, nie jarał się z nikim, a teraz co?

Społgądała w okno, przeklinała „nową Polskę”, która ciągle coś przewraca, zmienia, buduje.

— Teraz takimi dobrze, co nie ma nic — rzuciła.

Wieja podnosił na nią oczy. Opuścił fajkę o drewnianą nogę.

— Długo było dobrze takim, co mieli, a dużo! — odpowiadał.

Za wzgórzem sterczały kominy hut. Niebo nad nimi ocieżało od ezarówci — tęgi dym bił z tych kominów przez wszystkie lata, gdy Truda rosła, kochała się, wyszła za mąż i gospodarowała w zagrodzie, klóścąc się z Alojzem, że nie obdarzył jej dziećmi. Potem przyszła wojna, Hitler zgarniał śląskich chłopców do Wehrmachtu i Truda ucieczyła się, że nie da mu syna. Nie lubiła dawać ciężko roztawiała się z tym, co raz uznawała za swoją własność. Przeżywała po latach cierpką satysfakcję — oto jedna z niewielu nie będzie nikogo żegnana i nikogo nie straci, czarne ramię diabelskiej swastyki nie zahaczy o nią. Ale w czwartym roku wojny Alojż rozgadał się po pijanemu w gospodzie „Pod beczką” i obraził Hitlera. Truda owdowiała i długo nie mogła odzyskać równowagi po niespodzianym wstrząsie. Zagroda jednak trwała wśród pól i łąk, objętych niebawem nasyceniami po brzegach dymami hut i kopalń za dnia, blaskami łun po nocach. Truda doczekała kłuski Hitlera. Przyjęła ją jak odwet za Alojzego i za swoją zupełną samotność.

W gospodarce czas układa się w równe warstwy, trawi życie ludzkie jak gleba, która wszystko przyjmie i wszystko rozkłada. Truda podzieliła swoje życie na okresy: za kajtera, za starej Polski, za Hitlera, za nowej Polski. Posiwała, obrosła wspomnieniami jak kamien trawą i mchem, ale była krzepka, patrzyła twardo, radziła sobie ze spokojem i rozważa, które daje długie doświadczenie. Jej krowy po dawnemu pasły się na zielonym zboczu, nad którym kipiały bure dymy. Po gliniastym polu kuszykał niemrawo krewniak kaleka, którego przyjęła, gdy ją po swoim powrocie z zagranicy odwiedził i poprosił o gościnę, zanim znajdzie „odpowiednią” pracę i mieszkanie. Przekonała go, że to odpowiednią robotę może mieć u niej. Nie chciała tylko zgodzić się na to, by zatrzymać przy sobie syna, dorosłego już chłopca. Ułożyła wszystko wedle swej woli. Niewiele ten krewniak, Antoni Wieja, umiał, i Truda patrzyła na niego z politowaniem, ale też potrzebował tak mało, że niejedno mu wybaczyla. Rządziła nim, jak chciała — pokorny był. Gdy w niedzielę, szumiąc rękawami spódnicami, odchodziła na długie godziny do kościoła, spokojna była o dobytek i dom. Wieczorami, przed snem dobrze było pogawędzić z człowiekiem, który dużo widział w świecie. Truda siadywała na wprost okna. Nad zboczem rozpały się ogniste luny, różowocień spływała ku chacie, szeleścił stary sad za ścianą, sennie cykały świerszcze.

Teraz i na Wieję nie mogła patrzeć.

Kiedy na zachód od zagrody powstawało osiedle rolnicze, zaniepokoiła się. Oglądała drewniane domki niechętnie. Nie ukrywała wzgardy. — To się aż z Finlandii sprowadza takie cuda... — sepieni-

ła mrużąc popielate oczy. Ona też pierwszą powiedziała o tym osiedlu: „Finlandia”. Nazwa przyszła szybko — ludzie przyjmują chętnie określenia, które ułatwiają orientację w okolicy. Mówiono też: „domki na Finnach”. Dzieci gubiły w błocie buty, gdy szły do szkoły. Kobiety wędrowały gromadami koło zagrody Kaszycowej. Nie miały innego przejścia na przedmieście, gdzie była piekarnia i sklepy. Truda ostrzegła Antoniego:

— Dejcie też pozór na kury, bo nam pokradną.

Ale nie ginęło nic. W osiedlu wyrosły ogródki, porzeczki i agrest owocowały po raz pierwszy. Kwiczyły wieprze w chlewach. Na Dzień Górnika wypadło świniojocie. Wieja wymknął się Trudzie, poszedł pomagać przy wyrobie kiełbas i grupniaków, wrócił wesół i długo pośpiewywał starą piosenkę o rozbarskich dziewczętach. Przypomniała mu ostro, że u Kaszyców żyje się godnie, „przed się” i zapowiedziała, że nie ścierpi ozyroka w domu. Wtedy Wieja przycichł, westchnął, a potem jakby sobie coś przypomniał i rzucił:

— My będziemy budowali bez zakreću śmierci, Kaszycowa — zapowiedział urzędnik. — Wierzę, że nam w tym pomożecie...

— Truda, Truda — stękał wieczorem Antoni. — Weźcie, co wam dają. Widzicie, że nie chcą waszej krzywdy.

Milczała pogardliwie. Oczy jej płonęły jak u chorego podczas wysokiej gorączki. Patrzyła w stronę gdzie za światłami Finlandii kołysały się na wietrze latarnie nowego osiedla. Nad zboczem wytrysły o-

śły. Chciał wtedy rząd kupić kawałek ziemi od chłopca, którego gruntu leżały na szlaku autostrady. Uparł się, nie sprzedał. Rozbiły się długo auta na sławnym „zakreću śmierci”. Lata minęły, nim wrócono do starych planów i droga teraz biegnie podług nich.

— Ta kolej — odezwała się wreszcie Truda — musi ominąć moją ziemię. Musi, choćbyście wybudowali nowy zakreću śmierci... — Spłoszyła się pod baczny spojrzeniem młodego człowieka, który z nią rozmawiał. Tłumaczyła mu długą historię kawałka ziemi pod autostradę.

— My będziemy budowali bez zakreću śmierci, Kaszycowa — zapowiedział urzędnik. — Wierzę, że nam w tym pomożecie...

— Truda, Truda — stękał wieczorem Antoni. — Weźcie, co wam dają. Widzicie, że nie chcą waszej krzywdy.

Milczała pogardliwie. Oczy jej płonęły jak u chorego podczas wysokiej gorączki. Patrzyła w stronę gdzie za światłami Finlandii kołysały się na wietrze latarnie nowego osiedla. Nad zboczem wytrysły o-

również, gdy zapisał się do szkoły hutniczej i miał pierwsze trudności, bo w jego mowie roło się jeszcze od niemieckich zwrotów i słów. Kiedy organizacja młodzieżowa OM TUR i ZWM zrosły się w ZMP, a Krystian został pierwszym przewodniczącym w kole hutniczym, wołał o tym pomówić z ojcem w gospodzie niż przy Trudzie, która burczała by niechętnie, że Antoni traci czas na „glupoty”, a robota stoi. Potem Krystiana wysłano do technikum i wtedy stary Wieja po raz pierwszy od lat rozplakał się ze szczęścia.

— Zmarnowało się moje życie, ale ty weźmiesz w swoim za siebie i za mnie — powiedział. „Pod beczką” było wtedy pustawo, dziewczyna w różowej bluzce kręciła się koło stolika Wiejów, podawała piwo i uśmiechała się do Krystiana.

— No, frelka, podoba ci się ten synek, co? — zagadnął ją Antoni. — Ja ci mówię, jeszcze trochę, a będzie inżynierem. — Dziewczyna zmarszczyła w uśmiechu nos i okrzyki. Jak orzech:

— Ale wtedy nie przyjdzie „Pod beczką”... — zauważyła.

— Bawnie, że nie — przytaknął z dumą Antoni. — Chociaż... kto wie, przecie to będzie ten sam Krystian, co dziś. — Krystian myślał, że wszystko to prawda: i to, że będzie się dalej kształcił i że zostanie sobą, a gospoda „Pod beczką” nie odgrywa tu żadnej roli i może nie będzie do niej przychodził. Z dziewczyną jednak widywał się później, spacerowali po lesie do zmierzchu, w którym jasne włosy Elfydy lśniły niepokojąco, a usta obrzmiewały od pocałunków. Potem Elfydę przeniesiono do kawiarni w mieście, spotkania się skończyli i Krystian zapomniał o niej. Ojciec opowiadał przy piwie o kłopotach Trudy i dziwił się, że taka uparta, a wiadomo, że przegra.

— Jakby tak nawet zrobili dla niej, żeby inaczej poprowadzili kolej, to by po drodze spotkali niejednego dom i gospodarstwo — myślał głośno. — Przecie są rzeczy takie ważne, że człowiek musi ustąpić, nie? — Krystian interesował się nowym osiedlem. — Tam będą mieszkać przodownicy ze „Śląska” — wyjaśnił i zarumienił się. Wiedział, że będzie tam zachodził do córki jednego z nich, chemiczki z laboratorium hut. To była inna sprawa niż z Elfydą, trudna i może dlatego cenna. Agnieszka Goryczkówna była nieprzystępna, unikała Krystiana. Nie widywał jej zresztą z nikim. Na zebraniach ZMP sekretarowała sumiennie, później wymykała się z koleżankami i patrzyła niechętnie, gdy Krystian podchodził do nich.

Polną drogą od asfaltowej szosy ciągnął wóz, naładowany wysoko meblami i pościelą. Ktoś się jeszcze wprowadzał do osiedla. Może Goryczkowie? Agnieszka mówiła, że ojciec nie mógł się zdecydować na przeprowadzkę. Dobrze mu było w mieście.

Małe, lśniące lokomotywy pędziły po nasypie. Trzęsły się za nimi wózki z gliną i piachem. Od strony przekopu niosło się monotonne rżegotanie koparek mechanicznych. Wysoko na wale pracowała gromada chłopców ze Służby Polsce, półnagich, opalonych na brąz. Truda stała wśród nich, coś im tam tłumaczyła, szerokim, pełnym pretensji gestem rozkładała ręce. — A to byście, staro, zabrali kłamoty i wynieśli się — usłyszał Krystian.

— Nie ma co robić — skarżył się Krystianowi ojciec. — Została nam jedna krowa, parę kur i gęsi. Truda sama sobie da teraz radę z gadziną. A ja gdzie pójdę? — pytał patrząc wyczekująco na sy-

Jeszcze surowe ściany dymią zapachem dłoni i żywicy.

a nowy stół pośrodku stoł, jak pień ściętego właśnie drzewa, majowy dzień budowę skończył i związał światłem strop świetlicy, by odłąd wieczór w Pegeerze, jak owoc w sadzie tu dojrzał.

I już ku bibliotecznym półkom kłonią się ogorzałe twarze, wilgotny zapach młodej ziemi spada na rozchylone karty, niedawno w izbach były tylko zesyty i elementarze, a każdy znak drukarski toczył o pamięć chlopską boj uparty.

Nie jeden samą drwinę ciskał, jak kamień pod zmęczone kroki, gdy prosto z pola szli do szkoły z trzydziestoletnim opóźnieniem i przybliżał swą naukę do wyrąbanych w mroku okien, gdzie każda chwila jest radością, a każde słowo pożywieniem.

Ręka okrągłym ruchem sierpa rozciąła rozdział napoczęty i tysiąc wiorst otwiera ludziom nieusłyszane krajobrazy, coż więc, że noc już nastroiła do snu zielone instrumenty, niht z pochylonych nad ksiązkami stąd odejść teraz się nie waży.

na. — Skurczyło się pole i łąka, sad musieli wyciąć... Szkoda sadu...

Krystian milczał bezradny. Mieszkał w Domu Młodego Robotnika, nie mógł wziąć ojca do siebie.

Powietrze w kuchni było gęste. Odór gotowanych obierzyn parował z żelaznego gara na piecu. Przez wysoki próg zajrzała z sieni ruda kwoka, wprowadziła kurczęta. Gorliwie kuła dziobem w pustą misę, niepokoiła kota, który uciekł za okno między doniczki z mirtem i begoniami.

— Będzie burza — mówił Antoni. — Duszo, a w nodze łupie — wysuwał drewniany kikut i ostukiwał o niego pękata fajkę.

Truda weszła zdyszana, ponura. — Mogliście też odstawić obierzynę — rzuciła się do Antoniego — a to się regotowały na żupę.

Jesteś — powitała Krystiana i wydobyla z kredensu butelkę z wodką. — Napijemy się, kwatarka do bra przy starości.

— Nie będę pił — oświadczył Krystian. — Nockę mam dzisiaj. Kaszycowa krajała kielbase. Chwyciła chleb, oparła go o piersi obfite jak bochenki, odrzucała jasne kromki na kwiecisty talerz. Podsunęła Wiejom jedzenie i kieliszki. Antoni wypił, skrzywił się i przegrzył chlebem z kielbasą.

— No, i co? — zwróciła się Truda do Krystiana. — Inżynierem miałeś być, a nockę odrabiasz w hucie?

— Dlatego właśnie będę — odp. — A zresztą... inżynierowie też pracują na noc.

Truda śmiała się.

— Świat się kończy. Wieja będzie inżynierem. Kaszycową zasy-
pią.

Wypila jeszcze jeden i drugi kieliszek i zapadła w zamyślenie. Siedziała na wprost Krystiana, jej popielate oczy parzyły go niekiedy krótkim, gniewnym dotknięciem.

Antoni opowiadał szeptem, że rano zjechała jeszcze raz komisia z budowy kolei, było dużo gadania, Truda wykrzyczała przybyzsom, co o nich myśli. Krystiana ogarniała senność.

Na wale zapanowała cisza — chłopcy z SP skończyli dniówkę i odeszli. Zaskrzypiały świerszcze. Ktoś przebiegł szybko przez sięd, zastukał i przesuwał ręką po szorstkim drzewie, szukając klamki. Antoni wstał, zaświecił światło. Nagły, ostry blask wydobyl z mroku stojącą na progu Agnieszka.

Dziewczyna prosiła, by jej sprzedać mleka. Mówiła o przeprowadzce, o tym, że mają w domu małe dziecko, że jakaś butelka z mlekiem potłukła się w drodze, a mleczarnia teraz zamknięta. Patrzyła przy tym na kieliszki i na Krystiana, który wstał, uciechny jej niespodzianym przyjściem. Truda ocknęła się z milczenia.

— Z osiedla? — zapytała.

— Tak.

— Mleka nie ma.

— Chociaż troszkę... — szepnęła Agnieszka. — Dziecko płacze.

— Nie ma nic.

Krystian zarumienił się. Wiedział, że na niskiej szafce w sieni stoi dzban, pełny po przedwieczornym udoju. Antoni spojrział na Trudę z wyrzutem.

— A dziecko musi mieć mleko...

— rzekł jakby do siebie.

Agnieszka wyszła.

„Na Finnach” chachary z całkiem go świata — mruzczała Truda. — Z Luksemburga, z Francji, z Niemiec. Jest nawet jeden z Hiszpanii. Jego żona po naszymu słowa nie powie. Obca sobie wzięła, a ona nie tylko ciur-ciur-onaczy do niego i do dzieci.

— To z nowego osiedla — tłumaczył Antoni.

— No, to co? Nie dam mleka.

Krystian wybiegł z domu. W gęstniejącym zmierzchu dostrzegł Agnieszka. Obchodziła wał wymijając bryły gliny. Weszła w krag światła i wtedy różnobarwne kwiatki na jej sukience i rąbek białego kołnierzyka zabłysły. Odwróciła się spokojnie, gdy na nią zawołał i czekała.

— Daj bańkę.

— Przecież nie ma mleka.

— Jest! jest...

Odszukał w ciemnościach sieni ciężki dzban. Porozlewał chłodny plyn po rękach, po butach. W kuchni poruszył się ktoś. Truda zawołała: — Kto tam? — Ojciec zastukał drewnianą nogą. Krystian przebiegł pod oknem, potykał się o glinę i kamienie. Agnieszka zapytała obojętnie, jak w sklepie: — Ile płacę? — Oprzytomniał: — To później. Nie warto się wracać. Chodźmy.

Ryskawkie kołysały się w niskich chmurach. Młode akacje przy drodze stały nieruchomo w słodkim zapachu kwiatów. Na Finlandii jaryzły się latarnie, okna domów były otwarte i pełne radiowej muzyki. Agnieszka zapytała znowu: — To była twoja matka? — Odpowiadał ekapom, opornie. Myślał o tym, że chciał, by dziecko Goryczków, siostra czy brat Agnieszki, miało mleko do wieczornego posiłku i postąpił jak smarkacz. — To ty pijesz wodkę — rzuciła dziewczyna z przeganą w głosie. — Nie widziałas przecież — mruknął i nagle ostre uczucie niezadowolenia z siebie pierzchno. Agnieszka po raz pierwszy w rozmowie dotknęła jego spraw — niechże więc pyta o co chce, odpowie na wszystkie.

Niebo nad hutą rdzewiało, rumienilo się i rozpałało gorącą luną. Czerwone dachy nowego osiedla wyskakiwały z ciemności i zapadały w nią, gdy luna gasła. W oddali zawracał pierwszy, drugi grzmot, wielki szum zerwał się nad polami, uderzył w Agnieszka i Krystiana oddechem nadlatującej burzy. Dziewczyna przystanęła przed domem, z którego rozlegał się krzyk niemowlecia. — Syszyszy? — uśmiechnęła się. Z okna wycyliła się kobieta. — To ty, Agnes? — zapytała. Głos był cierkli, zmęczony i przynaglający, ale młody i dziwnie znajomy. — Matka? — szepnął Krystian. — Nie — odpowiedziała Agnieszka z wahaniem. — Moja... macocha. — Nie mógł odszukać w pamięci kobiety, którą mu ten głos przypominał.

Pierwsze krople deszczu zaszeleściły gęsto po kamieniach i trawie. — Przeczekaj burzę u nas — zaproponowała Agnieszka od drzwi — Już po dziewiętej, a ja na nockę — odrzekł już z drogi. Biegł wśród rosnącej ulewę w stronę przystanku tramwajowego. U Kaszycowej było ciemno, dom u stóp wału wyglądał jak rozniecony but. Krystian pomyślał z przykrością o tym, że trudno mu będzie pomóc ojcu w jego nowym kłopotcie. Drażnił go upór Trudy, wydawał mu się tępy i nędzny jak wszystko, co bujne życie, w którym rósł i czuł się szczęśliwy, przekreślało z dnia na dzień. Potem — już w stukocie tramwajowych kół — usłyszał głos kobiety: — To ty Agnes? — Wschubiwał się czujnie. — To ty, Krystian? — zwracało się ku niemu pytanie natarczywe i niepokojące. — To ja... — odpowiadał, ale nie poznawał głosu.

— Niebo nad hutą rdzewiało, rumienilo się i rozpałało gorącą luną. Czerwone dachy nowego osiedla wyskakiwały z ciemności i zapadały w nią, gdy luna gasła. W oddali zawracał pierwszy, drugi grzmot, wielki szum zerwał się nad polami, uderzył w Agnieszka i Krystiana oddechem nadlatującej burzy. Dziewczyna przystanęła przed domem, z którego rozlegał się krzyk niemowlecia. — Syszyszy? — uśmiechnęła się. Z okna wycyliła się kobieta. — To ty, Agnes? — zapytała. Głos był cierkli, zmęczony i przynaglający, ale młody i dziwnie znajomy. — Matka? — szepnął Krystian. — Nie — odpowiedziała Agnieszka z wahaniem. — Moja... macocha. — Nie mógł odszukać w pamięci kobiety, którą mu ten głos przypominał.

Pierwsze krople deszczu zaszeleściły gęsto po kamieniach i trawie. — Przeczekaj burzę u nas — zaproponowała Agnieszka od drzwi — Już po dziewiętej, a ja na nockę — odrzekł już z drogi. Biegł wśród rosnącej ulewę w stronę przystanku tramwajowego. U Kaszycowej było ciemno, dom u stóp wału wyglądał jak rozniecony but. Krystian pomyślał z przykrością o tym, że trudno mu będzie pomóc ojcu w jego nowym kłopotcie. Drażnił go upór Trudy, wydawał mu się tępy i nędzny jak wszystko, co bujne życie, w którym rósł i czuł się szczęśliwy, przekreślało z dnia na dzień. Potem — już w stukocie tramwajowych kół — usłyszał głos kobiety: — To ty Agnes? — Wschubiwał się czujnie. — To ty, Krystian? — zwracało się ku niemu pytanie natarczywe i niepokojące. — To ja... — odpowiadał, ale nie poznawał głosu.

— Niebo nad hutą rdzewiało, rumienilo się i rozpałało gorącą luną. Czerwone dachy nowego osiedla wyskakiwały z ciemności i zapadały w nią, gdy luna gasła. W oddali zawracał pierwszy, drugi grzmot, wielki szum zerwał się nad polami, uderzył w Agnieszka i Krystiana oddechem nadlatującej burzy. Dziewczyna przystanęła przed domem, z którego rozlegał się krzyk niemowlecia. — Syszyszy? — uśmiechnęła się. Z okna wycyliła się kobieta. — To ty, Agnes? — zapytała. Głos był cierkli, zmęczony i przynaglający, ale młody i dziwnie znajomy. — Matka? — szepnął Krystian. — Nie — odpowiedziała Agnieszka z wahaniem. — Moja... macocha. — Nie mógł odszukać w pamięci kobiety, którą mu ten głos przypominał.

Pierwsze krople deszczu zaszeleściły gęsto po kamieniach i trawie. — Przeczekaj burzę u nas — zaproponowała Agnieszka od drzwi — Już po dziewiętej, a ja na nockę — odrzekł już z drogi. Biegł wśród rosnącej ulewę w stronę przystanku tramwajowego. U Kaszycowej było ciemno, dom u stóp wału wyglądał jak rozniecony but. Krystian pomyślał z przykrością o tym, że trudno mu będzie pomóc ojcu w jego nowym kłopotcie. Drażnił go upór Trudy, wydawał mu się tępy i nędzny jak wszystko, co bujne życie, w którym rósł i czuł się szczęśliwy, przekreślało z dnia na dzień. Potem — już w stukocie tramwajowych kół — usłyszał głos kobiety: — To ty Agnes? — Wschubiwał się czujnie. — To ty, Krystian? — zwracało się ku niemu pytanie natarczywe i niepokojące. — To ja... — odpowiadał, ale nie poznawał głosu.

— Niebo nad hutą rdzewiało, rumienilo się i rozpałało gorącą luną. Czerwone dachy nowego osiedla wyskakiwały z ciemności i zapadały w nią, gdy luna gasła. W oddali zawracał pierwszy, drugi grzmot, wielki szum zerwał się nad polami, uderzył w Agnieszka i Krystiana oddechem nadlatującej burzy. Dziewczyna przystanęła przed domem, z którego rozlegał się krzyk niemowlecia. — Syszyszy? — uśmiechnęła się. Z okna wycyliła się kobieta. — To ty, Agnes? — zapytała. Głos był cierkli, zmęczony i przynaglający, ale młody i dziwnie znajomy. — Matka? — szepnął Krystian. — Nie — odpowiedziała Agnieszka z wahaniem. — Moja... macocha. — Nie mógł odszukać w pamięci kobiety, którą mu ten głos przypominał.

Pierwsze krople deszczu zaszeleściły gęsto po kamieniach i trawie. — Przeczekaj burzę u nas — zaproponowała Agnieszka od drzwi — Już po dziewiętej, a ja na nockę — odrzekł już z drogi. Biegł wśród rosnącej ulewę w stronę przystanku tramwajowego. U Kaszycowej było ciemno, dom u stóp wału wyglądał jak rozniecony but. Krystian pomyślał z przykrością o tym, że trudno mu będzie pomóc ojcu w jego nowym kłopotcie. Drażnił go upór Trudy, wydawał mu się tępy i nędzny jak wszystko, co bujne życie, w którym rósł i czuł się szczęśliwy, przekreślało z dnia na dzień. Potem — już w stukocie tramwajowych kół — usłyszał głos kobiety: — To ty Agnes? — Wschubiwał się czujnie. — To ty, Krystian? — zwracało się ku niemu pytanie natarczywe i niepokojące. — To ja... — odpowiadał, ale nie poznawał głosu.

— Niebo nad hutą rdzewiało, rumienilo się i rozpałało gorącą luną. Czerwone dachy nowego osiedla wyskakiwały z ciemności i zapadały w nią, gdy luna gasła. W oddali zawracał pierwszy, drugi grzmot, wielki szum zerwał się nad polami, uderzył w Agnieszka i Krystiana oddechem nadlatującej burzy. Dziewczyna przystanęła przed domem, z którego rozlegał się krzyk niemowlecia. — Syszyszy? — uśmiechnęła się. Z okna wycyliła się kobieta. — To ty, Agnes? — zapytała. Głos był cierkli, zmęczony i przynaglający, ale młody i dziwnie znajomy. — Matka? — szepnął Krystian. — Nie — odpowiedziała Agnieszka z wahaniem. — Moja... macocha. — Nie mógł odszukać w pamięci kobiety, którą mu ten głos przypominał.

Pierwsze krople deszczu zaszeleściły gęsto po kamieniach i trawie. — Przeczekaj burzę u nas — zaproponowała Agnieszka od drzwi — Już po dziewiętej, a ja na nockę — odrzekł już z drogi. Biegł wśród rosnącej ulewę w stronę przystanku tramwajowego. U Kaszycowej było ciemno, dom u stóp wału wyglądał jak rozniecony but. Krystian pomyślał z przykrością o tym, że trudno mu będzie pomóc ojcu w jego nowym kłopotcie. Drażnił go upór Trudy, wydawał mu się tępy i nędzny jak wszystko, co bujne życie, w którym rósł i czuł się szczęśliwy, przekreślało z dnia na dzień. Potem — już w stukocie tramwajowych kół — usłyszał głos kobiety: — To ty Agnes? — Wschubiwał się czujnie. — To ty, Krystian? — zwracało się ku niemu pytanie natarczywe i niepokojące. — To ja... — odpowiadał, ale nie poznawał głosu.

— Niebo nad hutą rdzewiało, rumienilo się i rozpałało gorącą luną. Czerwone dachy nowego osiedla wyskakiwały z ciemności i zapadały w nią, gdy luna gasła. W oddali zawracał pierwszy, drugi grzmot, wielki szum zerwał się nad polami, uderzył w Agnieszka i Krystiana oddechem nadlatującej burzy. Dziewczyna przystanęła przed domem, z którego rozlegał się krzyk niemowlecia. — Syszyszy? — uśmiechnęła się. Z okna wycyliła się kobieta. — To ty, Agnes? — zapytała. Głos był cierkli, zmęczony i przynaglający, ale młody i dziwnie znajomy. — Matka? — szepnął Krystian. — Nie — odpowiedziała Agnieszka z wahaniem. — Moja... macocha. — Nie mógł odszukać w pamięci kobiety, którą mu ten głos przypominał.

Pierwsze krople deszczu zaszeleściły gęsto po kamieniach i trawie. — Przeczekaj burzę u nas — zaproponowała Agnieszka od drzwi — Już po dziewiętej, a ja na nockę — odrzekł już z drogi. Biegł wśród rosnącej ulewę w stronę przystanku tramwajowego. U Kaszycowej było ciemno, dom u stóp wału wyglądał jak rozniecony but. Krystian pomyślał z przykrością o tym, że trudno mu będzie pomóc ojcu w jego nowym kłopotcie. Drażnił go upór Trudy, wydawał mu się tępy i nędzny jak wszystko, co bujne życie, w którym rósł i czuł się szczęśliwy, przekreślało z dnia na dzień. Potem — już w stukocie tramwajowych kół — usłyszał głos kobiety: — To ty Agnes? — Wschubiwał się czujnie. — To ty, Krystian? — zwracało się ku niemu pytanie natarczywe i niepokojące. — To ja... — odpowiadał, ale nie poznawał głosu.

— Niebo nad hutą rdzewiało, rumienilo się i rozpałało gorącą luną. Czerwone dachy nowego osiedla wyskakiwały z ciemności i zapadały w nią, gdy luna gasła. W oddali zawracał pierwszy, drugi grzmot, wielki szum zerwał się nad polami, uderzył w Agnieszka i Krystiana oddechem nadlatującej burzy. Dziewczyna przystanęła przed domem, z którego rozlegał się krzyk niemowlecia. — Syszyszy? — uśmiechnęła się. Z okna wycyliła się kobieta. — To ty, Agnes? — zapytała. Głos był cierkli, zmęczony i przynaglający, ale młody i dziwnie znajomy. — Matka? — szepnął Krystian. — Nie — odpowiedziała Agnieszka z wahaniem. — Moja... macocha. — Nie mógł odszukać w pamięci kobiety, którą mu ten głos przypominał.

Pierwsze krople deszczu zaszeleściły gęsto po kamieniach i trawie. — Przeczekaj burzę u nas — zaproponowała Agnieszka od drzwi — Już po dziewiętej, a ja na nockę — odrzekł już z drogi. Biegł wśród rosnącej ulewę w stronę przystanku tramwajowego. U Kaszycowej było ciemno, dom u stóp wału wyglądał jak rozniecony but. Krystian pomyślał z przykrością o tym, że trudno mu będzie pomóc ojcu w jego nowym kłopotcie. Drażnił go upór Trudy, wydawał mu się tępy i nędzny jak wszystko, co bujne życie, w którym rósł i czuł się szczęśliwy, przekreślało z dnia na dzień. Potem — już w stukocie tramwajowych kół — usłyszał głos kobiety: — To ty Agnes? — Wschubiwał się czujnie. — To ty, Krystian? — zwracało się ku niemu pytanie natarczywe i niepokojące. — To ja... — odpowiadał, ale nie poznawał głosu.

— Niebo nad hutą rdzewiało, rumienilo się i rozpałało gorącą luną. Czerwone dachy nowego osiedla wyskakiwały z ciemności i zapadały w nią, gdy luna gasła. W oddali zawracał pierwszy, drugi grzmot, wielki szum zerwał się nad polami, uderzył w Agnieszka i Krystiana oddechem nadlatującej burzy. Dziewczyna przystanęła przed domem, z którego rozlegał się krzyk niemowlecia. — Syszyszy? — uśmiechnęła się. Z okna wycyliła się kobieta. — To ty, Agnes? — zapytała. Głos był cierkli, zmęczony i przynaglający, ale młody i dziwnie znajomy. — Matka? — sz

CLAUDE ROY

Z p o d r ó ż y d o C h i n

Claude Roy jest dziś — być może — najwybitniejszym postępowym reportażystą francuskim. Swoją drogę pisarską rozpoczął on od tomików poezji oraz szkiców krytycznych o Mari-vaux, o znakomitym rzeźbiarzu Maillol, o Aragonie. W tej ostatniej pracy wskazywał na przemianę, jaką przeszedł poeta, od anarchicznej awangardy do klasycznego humanizmu. W roku 1948 Roy opublikował swój pierwszy wielki reportaż, „Ciefs pour l’Amerique” („Klucze do Ameryki”), który obok prac prof. Guérin („Dokąd idzie naród amerykański”) i W. Pozniera („Kto zabił H. O. Burrela?” jest najciekawszym po wojnie dokumentem, jak wygadają Stany Zjednoczone w oczach współczesnego Francuza.

Reportaże Roy przypominają „Zapiski” Effendi Kapijewa z okresu bitwy stalingradzkiej: są to krótkie notatki, z pozoru nie powiązane, o nastroju poetycznym, utrwala-ające jakieś zdarzenie, słowo, gest, często blady, który, by dostrzec, trzeba wrażliwości iście lirycznej. Gatunek taki grozi popadnięciem w zdołnictwo literackie, zgubieniem ideologii w poszukiwaniu drobnych wzruszeń — jeśli znajdzie się on w ręku pisarza, nie dość przygotowanego, by skutecznie operować narzędziem literackim tak delikatnym.

Inaczej jest z autorem „Podróży do Chin”: potrafi on w drobiazgach dostrzeżonych i przeżytych przez reportera, dostrzec odbicie wielkich zdarzeń historii współczesnej, niby ów widz, który nie mogąc się docisnąć, ogląda ludową manifestację w ręcznym lusterku trzymanym nad głową, nie traci nic z jej patosu, i całym sercem w niej uczestniczy. Z zapisków Roy niejako „paruje” nastroj Chin dzisiejszych; czy jest to jednak tylko „atmosfera”, egzotyczny klimat, uderzający wyobraźnię gościa zza oceanu?

Czy w drobnej scenie dziecka — handlarza, które sprzedawczy koszy, wypisuje kwit, mimo że biały turysta go nie żądał, „bo nie zrobić tego byłoby bardzo źle” — czy nie widać wielkiej sprawy: narastania nowej moralności obywateli ludowego państwa?

Claude Roy, pisarz postępowy, zwraca się do współczesnego Francuza żyjącego w warunkach kultury burżuazyjnej; dlatego nowe Chiny próbuje on pokazać poprzez cykl poetycznych obrazów, przemawiających zarówno swoim klimatem, co sformułowaniami ideologicznymi. W jego książce zwraca uwagę nacisk autora na tradycję historyczną: owo często podkreślane w enuncjacjach ludowych polityków łączenie słów Marksa i Konfucjusza, Lenina i Mencjusza, Mao Tse-tunga i klasycznego poety Li-Tai-Po „chińskiego Anakreonta” sprzed tysiąca trzystu lat. Claude Roy nawiązuje bowiem celowo do tradycji francuskiego racjonalizmu, szukającego wzorów w kulturze chińskiej. Za interesowanie Chinami łączy się we Francji z nawrotem rewolucyjnej myśli materialistycznej: w wieku XVIII Diderot, Helwecjusz, Wolter pasjonują się kulturą chińską (Wolter przerabia klasyczny dramat moralny chinai na tragedię „Orpheein de Chine”) i w drugiej połowie XIX stulecia, w epoce pozytywizmu, gdy przełożone zostają dzieła Konfucjusza, poematy Li-Tai-Po i Tu-Fu. W okresie gdy reakcyjni idealisci, głównie w Niemczech, zachwycając się mistyczną kulturą hinduską, francuski postępowy racjonalizm zwraca się ku Chinom — nie bez powodu. Ta najstarsza cywilizacja świata zbudowana jest na aprobach rzeczywistości i jej wielkie dzieła klasyczne są najwcześniej dojrzałym w historii wynikiem myśli materialistycznej. Ale pod panowaniem cesarzy, feudalizmu i Kuo-min-tangu tradycja racjonalizmu i sprawiedliwości społecznej cofa się pod naciskiem doktryn teologicznych i dogmatycznych, czerpiących z religijnego panteizmu i biologizmu innych ludów azjatyckich, obcych tradycyjnej cywilizacji chińskiej. Gdy dziś rząd ludowy wszczyną dzieło reedukacji narodowej, pisarz francuski obserwujący ten proces rad by przypomnieć swoim rodakom — zagrożonym przez amerykański agnostycyzm — naukę, jaka płynie z myśli klasycznej.

Z. K.



Żołnierze

Czy możecie wyobrazić sobie deszcz, który nigdy się nie zaczął i nigdy nie kończy? Pora opadów w południowych Chinach nie przypomina ani mussonu indyjskiego, ani żadnej z burz europejskich. Jest to deszcz stały, nieprzerwany, szeleszczący dniem i nocą nad polami ryżowymi, drogami, czarnymi kanałami, zamaryłymi polebiarkami, wioskami skostniałymi od chłodu, nad pagodami o stożkowatych dachach.

Oddział żołnierzy maszerował brzegiem drogi napęczniałej jak gąbka. Od trzech miesięcy pomagali oni chłopom w doprowadzeniu do ładu pól zniszczonych w ubiegłym roku przez powódź. Teraz gdzie indziej potrzebowano ich pomocy, więc maszerowali z plecakami, z karabinem w płóciennym futerales, z wiązką słomy pod lewą pachą. W prawej dłoni każdy trzymał parasol na bambusowej rączce, z żółtego papieru naoliwionego.

Był to dziwny widok, tych dwustu żołnierzy kroczących drogą, z dwustu otwartymi parasolami.

W chwilę potem żołnierze zatrzymali się w wiosce, zamknęli i otrzepali parasole, przysiedli na stopniach świątyni i zaczęli jeść swoje zapasy. Jeden z nich zdjął owijacze, i wtedy zobaczyłem na jego kostce szeroką bliznę kolistą, i jasnoróżową.

— Czy buty go nie uciskają? — zapytałem porucznika. Popatrzył na kostkę żołnierza.

— Aha, to Li — odpowiedział.

— Nie, to nie jest skaleczenie od buta. Za Kuo-min-tangu siedział cztery lata w więzieniu, to jest ślad po żelazie, które nosił na lewej nodze.

Mówił jakby to była rzecz banalna, oczywista. Ślad żelaza, które nosił na lewej nodze. To się rozumie samo przez się...

Karabin maszynowy i wykład

W powieści Kung-Czu i Juan-Czing, noszącej tytuł „Synowie i Córki Chin”, bohater, Da-Szui, młody dowódca partyzant, przekrada się nocą do wioski okupowanej przez Japończyków. Skrada się w ciemnościach z rewolwerem w rękę, wymijając pabole, w każdej chwili ryzykując życie. Wślizguje się do domu wysokiego urzędnika, kolaboranta. Pod groźą rewolweru zgromadza w jednym pokoju całą rodzinę Szen, pana domu, mężczyzn, kobiety, konkubiny. Następnie... ale lepiej będzie cytować dosłownie.

— Nie bójcie się — powiedział Da-Szui.

Poprosił kobiety by usiadły. Potem zaś, jakby to było w szkole, Da-Szui wygłosił im wykład o sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej, oraz o konieczności frontu narodowego.

W dalszym ciągu powieści, żołnierze 8-ej Armii biorą do niewoli dowódcę garnizonu policji kolaborującej z Japończykami.

„Komendant ten, zwany Wielki Kruk, zachowywał się jak dzikie zwierze. Brał co chciał ze sklepów, nigdy nie płacił, i całymi dniami szczełał na 8-ą Armię. Gdy wpadł w ręce komunistów, możemy przypuszczać, że otrzyma karę na jaką zasłużył. Tak też się i dzieje — robi mu się wykład! Mówili do niego całą godzinę, po czym zezwolono mu na powrót do fortecy. „Moje oczy były wielkie, lecz jakby bez źreń” — mruczał ponizony Wielki Kruk. „Nie jestem męczennikiem. Wy wiecie o mnie wszystko. Jestem jak żółw w szklanej misie. Teraz będę wiedział jak postępować...”

Chiński czytelnik Kung-Czu i Juan-Czing nie uważają za dziwne, że partyzant ryzykuje życie, by zrobić wykład rodzinie kolaborantów, ani tego że wypuszcza go na wolność wroga, przywódcę garnizonu policyjnego, po godzinie odczytu ideologicznego. Armia ludowa rozporządza rozmaitymi bronią: artylerią, karabinami, minami, — oraz wykładem.

Pamięć ludu

Osobliwy krzew — figowiec indyjski — rozpościera swe panowanie na przestrzeni Indii i Chin Południowych. Posiada on swe korzenie coraz dalej i dalej, orze nimi ziemię ze wszystkich sił, niby dźwigacz ciężarów, z każdej nowej łodyżki puszcza niekończące się odgałęzienia — aż zaleje wszystko dokoła, tworząc drzewa-arkady, drzewa świątynie, drzewa-dachy, drzewa-palace, drzewa-słonie, drzewa - nad-drzewa.

Historia w Chinach jest niby ów krzew, wszędzie obecny, stale zający — i ona jest wciąż obok nas, rzucająca się w oczy, wkorzeniona, uparta, cierpliwa. Tysiącletnia i współczesna. Niby figowiec indyjski.

Kiedys była wielkim ciężarem. Ale od niedawna kult przodków — główny rytuał Chińczyków — nie jest bardzo kłopotliwy.

Moja młoda przyjaciółka, 18-letnia Tan-hoa, bez przykrości wspomina obchody w rocznicę śmierci dziadków.

— Spaliliśmy parę drobnych banknotów na ołtarzyku rodzinnym, gdzie składano też ryż, mięso, owoce i ciastka nien-kao dla drogiego zmarłego.

— I to wszystko?

— Potem zjadaliśmy sami ryż, mięso, owoce i ciastka, tatę zaś opowiadał nam o babce.

Nieśmiertelność, jak ją rozumieją Chińczycy, zamyka się w rodzinie. Uroczysty obiad, parę anegdot rodzinnych: żywi spłacali dług wobec martwych przy pomocy paru grzecznych gestów. Trzeźwi Chińczycy zdają się podzielać opinię Montesquieu: „Dwa światy to za wiele — ten tu psuje świątynię, tamten zaś psuje nasz ziemski. Wystarczy jeden”.

W Han-Czeu, nad brzegiem jeziora, należy spalić parę pałeczek kadzidła w świątyni bohatera Jo-Fei. Na podwórzu rosną tu wielkie akacje, w ich cieniu bawią się dzieci. Na lewo od świątyni aleja kamiennych posągów prowadzi do grobowca. Bohatera — jest to kopuła z głazzonego kamienia, wśród półkola drzew.

Kto odznacza się gustem wrażliwym, nie powinien zbliżyć się do dwóch kłęzących posągów, zamkniętych w żelaznej klatce. Są one pokryte świeżą płwoczną. Są to bowiem figury zdrajców, którzy wydali bohatera Jo-Fei. Żył on w XII wieku, za dynastii Songów. Chłopi dziś jeszcze

przychodzą, by znieważyć tych, którzy sprzedali go wrogom. Napelniają starannie krtani i plują im prosto w twarz.

Wielu z nich z pewnością nie umie czytać. Nie znają książek historycznych, gdzie opisano jak Jo-Fei w r. 1138 walcząc, by zwrócić cesarzowi jego stolicę, zdobył przez barbarzyńskich najeźdźców. Dwaj generałowie wydali go ministrowi „kolaborantowi”, który kazał go zamordować w więzieniu. Dzisiejsi zwiedzający, którzy po ośmiu wiekach plują zdrajcą w twarz, dowiedzieli się z teatru, że Jo-Fei był lojalnym żołnierzem, patriotą.

Krytyka i samokrytyka

Pekin, w maju

Liu-Czao-Szi, jeden z wice-przewodniczących rządu centralnego i jeden z najwybitniejszych przywódców partii komunistycznej, jest szczupły, delikatny, i nie wygląda na swój wiek. Urodził się w 1898, ale można by mu dać 35 lat. Twarz ma podłużną i inteligentną, piękne dłonie, szczupłe i nerwowe. Wczoraj wieczorem byłem na wykładzie, jaki miał do młodych kadr partyjnych, przybyłych do Pekinu na święto 1 majowe. Temat: „O wewnętrznej krytyce i walkach w łonie partii”.

W pierwszej części przemówienia Liu-Czao-Szi mówił o konieczności pracy nad sobą, refleksji, samokształcenia — dla działacza komunistycznego; nazwał to „kulturą osobistą”. Przytoczył Marksa: „Wasz udział w ciągu wielu lat wojny domowej lub międzynarodowej, ma na celu nie tylko przekształcenie stosunków społecznych, ale też wychowanie was samych”. Przytoczył Konfucjusza: „Gdy miałem lat 15, mój umysł załamywał się pod ciężarem rozważań. W wieku lat trzydziestu potrafiłem stać prosto. Jako młodziuchna 40 letni nie miałem już wątpliwości. Gdy miałem lat 50, znałem wyroki Nieba. W wieku lat 60 moje ucho stało się niezawodnym narzędziem poznawania prawdy. Gdy doszedłem wreszcie siedemdziesiątki, mogłem wykonywać życzenia mego serca, nie przekraczając zasad sprawiedliwości”.

Konfucjusz — mówił Liu-Czao-Szi — nie sądził bynajmniej, że urodził się od razu mędrcem. „Towarzysze — zostańcie dobrym komunistą, to nie znaczy poznać na pamięć klasyków marksizmu-leninizmu, ale wnieść się na poziom wielkich ludzi w leninowskim stylu. Mencjusz (Meng-Tse) powiedział: „Każdy może zostać Jao lub Szunem(“). Stalin zaś powiedział: „Komuniści winni wykształcić w sobie charakter jasny i wyraziste, na wzór Lenina”. Znaczy to to samo. W dalszym ciągu Liu przytoczył Czong-Tse, ucznia Konfucjusza, który mówił: „Zastanawiam się nad samym sobą trzy razy dziennie”, — oraz Księgę Pieśni, gdzie czytamy: „Powinniśmy się doskonalić podobnie jak kamieniarz wygląda swój kamień”. „Jeśli o tym nie będziemy pamiętali, nie zostaniemy dobrymi komunistami, tylko karierowiczami”.

W dalszym ciągu Liu nakreślił portret prawdziwego komunisty. Odznacza się on: miłością ludu, głęboką znajomością nauk, skromnością i godnością. Komuniści powinni być taki, jak mówi przysłowie chińskie: „Martwi się długo przed wszystkimi innymi, i cieszy się ostatni po wszystkich innych”.

Następnie przeszedł Liu do krytyki i samokrytyki. Starcia w łonie partii — powiedział — nie powinny dotyczyć drobiazgów, takich jak prywatne życie towarzyszy. By były one owocne, muszą się stać walką o zasady. „Wdzieliśmy nieraz, jak towarzysze nasi sprzeciali się tak, że twarze ich stały się czerwone, zarzucali się obelgami, wreszcie, po długiej walce, woleli ze sobą nigdy już nie rozmawiać. Powstawała między nimi głęboka nienawiść. A przecież nie było między nimi różnicy co do idei, co do zasad”.

Liu mówił prawie trzy godziny. Stuchacze — w większości młodzi chłopcy i dziewczęta — starannie notują. Liu kończy cytatem z „Analektów” Konfucjusza, wzywając słuchaczy by nie byli jak zgnięte drzewo i mur z gliny, o jakich mówi mędrcze: „Zgnięte drzewo nie daje się zginać, zaś mur z gliny nie znieśnie ciosu kielni”, — oraz przytacza Mao-Tse-Tunga: „Światło jutrenki bliższy przed nami. Trzeba się podnieść i działać”!

Między ostatnimi słowami i oklaskami mija krótka chwila: słuchacze pośpiesznie kończą notować, i wtedy dopiero wyrażają swoją radość.

List do redakcji dziennika w Szanghaju

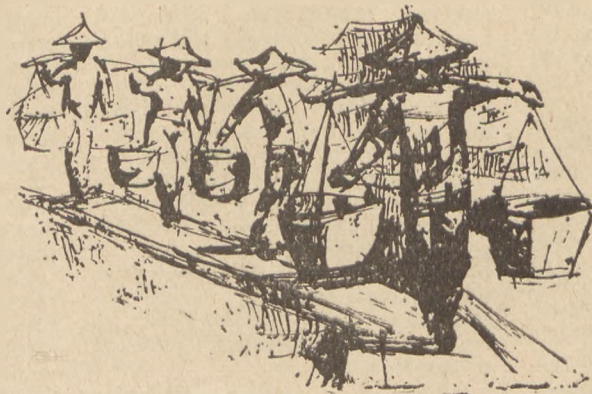
Przypisuję list jaki ukazał się w dzisiejszym numerze jednego z pism w Szanghaju:

„Panie Redaktorze,

Nasze stowarzyszenie studentów zorganizowało zebranie celem przedyskutowania spraw reformy intelektualnej. Czterech spośród towarzyszy mówiło o swojej walce ze starymi nawykami myślenia.

Kao-Ni-Sung, student filologii niemieckiej, krytykował swoje dawne błędy, wynikłe z ideologii burżuazyjnej. Przy-

*) Dwaj legendarni bohaterowie. Święta księga Szy-King mówi o cesarzu Jao: „Widok jego cnot przynosił pokój rodzinom, utrzymywał porządek w armii, jedność zaś w całym kraju”. Szun był następcą Jao i Szy-King z szacunkiem wylizca jego dokonania.



Rysunki Tadeusza Kulisiewicza

znał się że ukradł książkę z czytelni. Nasza młoda koleżanka z anglistyki dokładnie opowiedziała swoje życie. Należy ona do rodziny ziemian i kapitalistów, i miała zwyczaj wydawać dużo pieniędzy na swoje przyjemności.

Naez kolega, student z pierwszego roku, oświadczył że choć należy do ubogiej rodziny, ogarnięty był ambicją wzbogacenia się, i wydawał dużo pieniędzy na modne garnitury europejskie, by zadowolić swoją próżność.

Studentka z trzeciego roku opowiedziała, że podczas pobytu w gimnazjum miała poglądy postępowe, jeszcze pod panowaniem Kuo-min-tangu, i była nawet kandydatem do partii komunistycznej. Ustąpiła jednak pod naciskiem burżuazyjnej rodziny i otoczenia. Po wyzwoleniu straciła dużo czasu na oglądanie filmów amerykańskich i czytanie głupich romansów, i zaniechała starań, by zostać członkiem partii.

Postanowiliśmy zwalczyć w nas resztki ideologii burżuazyjnej i wzmóc walkę o reformę intelektualną”.

Li-Hu-Zen

Uniwersytet Fon-Tan w Szanghaju

Rozmowa z dziewczyną z plemienia Miao

Moja przyjaciółka Lian Czao-Fu pochodzi z plemienia Miao, należy więc do mniejszości narodowych. Od dwóch tysięcy lat Chińczycy robili co mogli, by pozbyć się „barbarzyńców”. Za panowania dynastii Szing cesarz wezwał plemię Miao, by zjechało do stolicy celem zapoznania się z dekretemi imperialnymi. W miarę gdy grupy Miao przybywały, armia cesarska masakrowała je co do nogi, na wąskich ścieżkach górskich. W r. 1850, wymordowano ostatnich z narodu Minczów, podobnie jak biali zrobili z Indianami w Ameryce. W r. 1854 wybuchło wielkie powstanie Miao i Taipingów, krwawo stłumione po 20 tu latach walki. W prowincji Kiang-si większość Jaoosów wymarła z głodu, ponieważ armie Kuo-min-tangu zrabowały im wszystkie zbiory. Było to 10 lat temu. W r. 1940 lotnicy Czang-Kai-Szeka ostrzelali zrewoltowane wioski Miao w Kui-Czeu, po czym podpalone domy wraz z ludźmi. Każdy naród ma kolonie gdzie może; Chińczycy mają je we własnym domu, tuż pod progiem.

9 września 1949 Komitet polityczny rządu Chin Ludowych zatwierdził jednogłośnie art. 9 programu narodowego: „Wszystkie narodowości Ludowej Republiki Chińskiej mają równe prawa i obowiązki”.

Moja przyjaciółka Lian Czao-Fu należy do plemienia „czarnych Miao”, tworzących grupę miejscowości 40 000 dusz w dystrykcie Kaoli, w Chinach południowych. Skończyła z odznaczeniem szkołę w Kaoli i skierowano ją do Pekinu, celem odbycia trzyletniej praktyki w Centralnym Instytucie Mniejszości Narodowych. Instytut ten został otwarty 11 czerwca 1951 r. Przyjmuje się do niego studentów Chińczyków, pragnących poznać języki i obyczaje mniejszości narodowych, oraz młodzież z mniejszości, doskonalącą się tu w języku chińskim oraz w wybranych dyscyplinach, jak prawo i ekonomia polityczna. Są tu katedry języków: tybetańskiego, jao, miao, ujgur, ji, nasei, tsuan, tsun-tse, mongolskiego i liso. W r. 1953 liczba studentów dojdzie do tysiąca.

Tu przychodzę odwiedzić Lian Czao-Fu, która przyjmuje mnie w jednym z salonów Instytutu, przeznaczonych na spotkania przyjacielskie. Pijemy herbatę z jabłkiem i suszonych owoców, i Lian opowiada mi o swoim narodzie.



„My, Miao — jesteśmy tak biedni, że są wśród nas rodziny, które na oczy nie widziały soli. Kupcy chińscy handlujący solą żądali w zamian olbrzymich ilości skór i oliwy z tuńczyków. Dawali tylko pięć igieł do szycia za jedną skórę barania. Moi rodzice byli bardzo ubodzy, ale udało im się z wielkim wysiłkiem wysłać mnie do szkoły. Musiałam jednak ukrywać, że jestem Miao, z obawy przed kolegami, żeby nie byli dla mnie złe. Mówiłam po chińsku, nigdy w moim języku.”

W r. 1943 zbuntowano się w naszej wiosce. Przyszło wojsko Kuo-min-tangu, dziedzic ich wspierał. Zadenuncjował on mego ojca przed Kuo-min-tangiem. Podpalono nasz dom, a dziecko który od dawna miał chętkę na moją siostrę, zabrał ją do siebie i zniewolił. Ja byłam wtedy w szkole. Od tego czasu nienawidziłam Hanów, ale ukrywałam moje lzy. Gdy przyszła armia ludowa w 1949, nie wiedzieliśmy, czego się trzymać. Byłam wtedy w wiosce na wakacjach. Zobaczyliśmy, że nowi wsadzili dziedzica do więzienia, a kupcy Hanowie nie odważyli się już dawać pięciu igieł za barana. Armia Ludowa dawała przydział soli dla najbiedniejszych. Wtedy zaprosiliśmy żołnierzy na święto do wioski. Ale po uroczystości, gdy zasiadliśmy do przyjęcia, nie chcieli jeść z nami. W wiosce zapanowało oburzenie, bo według zwyczajów Miao, odmówić posiłku podanego przez gospodarza jest obrazą i unokorzeniem. Gdy żołnierze zrozumieli wreszcie, dlaczego jesteśmy dotknięci, wrócili i wyjaśniali, że armia miała rozkaz, by nie zabierać żywności mieszkańcom. Był to rozkaz samego Mao-Tse-Tunga. Zgodzili się wreszcie jeść z nami, ale pod warunkiem, że zwrócą mięso i sól w ilości w jakiej zjedli, ponieważ taki był przepis, i nie było wolno przekraczać go. Ofiarowaliśmy im chorągiew z napisem: „Wyzbawicielom naszego ludu”. Potem przysłano do nas komisję lekarską antyepidemiczną, założono też szkołę w naszej wiosce dla trzech wsi sąsiednich. Wybraliśmy wójtą, po raz pierwszy wioska otrzymała samorząd. Obecnie mój ojciec odbudował swój dom, ja zaś jestem tu w Instytucie Mniejszości.

Na koniec Lian zaśpiewała mi piosenkę ułożoną przez chłopów Miao z jej wsi. Przełożyłem — zresztą bardzo źle — jej słowa:

Dawniej Miao jedli dzikie trawy i arbuzy. Dzisiaj Miao jedzą ryż, zboże i sól. Dawniej Miao byli jak zgnieciona trawa pod ciężkim kamieniem. Ale prezydent Mao roztrzaskał głaz. Pod kamieniem Miao nie mogli podnieść głowy. Dzisiaj, gdy głaz w prochu, Miao stoją prosto.

Niestety, przekład mój nie oddwarza smaku tej pieśni, chropawej i radosnej, kolejno melancholijnej i żywej, o kolorystyce chłopskiej ballady — niby dzikiego zioła — wolnego śpiewu wyzwalonego ludu.

Lian Czao-Fu ma dziewiętnaście lat.

Opracował Zygmun Kalużyński

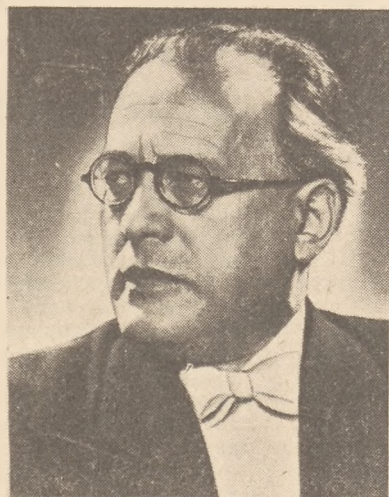
Grzegorz Fitelberg 1879—1953

Ze śmiercią Grzegorza Fitelberga muzyka polska poniosła wielką stratę. Odszedł człowiek niepożyty energii, pełen sił twórczych, znakomity dyrygent i kompozytor, świetny, wymagający wiele od siebie i swych uczniów pedagog — odszedł artysta i działacz kultury.

Grzegorz Fitelberg studia muzyczne odbył w Konserwatorium Warszawskim, które ukończył z dwoma dyplomami — w klasie kompozycji Noskowskiego i w klasie skrzypiec Barcewicza. Wraz z Karłowiczem, Szymanowskim, Różyckim i Szelutą tworzył grupę kompozytorów „Młoda Polska”, która odegrała wielką rolę w życiu muzycznym kraju.

W dorobku kompozytorskim Fitelberga najważniejszymi pozycjami są m. in.: poemat symfoniczny „Pieśń o sokole” (wg Gorkiego), II symfonia, dwie Rapsodie Polskie oraz poemat symfoniczny „W głębi morza”.

Sławę zawiązał Grzegorz Fitelberg swojej pracy dyrygenckiej, którą rozpoczął w r. 1908, stając na czele orkiestry Filharmonii Warszawskiej. Później przez czas pewien był dyrygentem Opery Wiedeńskiej, a następnie przebywał kolejno w Piotrogradzie i Moskwie, dyrygując m. in. prawym konaniem „Symfonii Klasycznej”



Grzegorz Fitelberg

Prokofiewa. Powołany też zostaje na stanowisko dyrygenta Teatru Wielkiego w Moskwie.

W r. 1921 wraca do kraju. Wkrótce wyjeżdża do Londynu, gdzie odnosi duże sukcesy. Od r. 1925 do 1934 dyryguje orkiestrą Filharmonii Warszawskiej. Organizuje orkiestrę sym-

foniczną Polskiego Radia, która pod jego kierownictwem odnosi sukcesy na światowej wystawie w Paryżu w r. 1937.

W czasie ostatniej wojny rozwija ożywioną działalność artystyczną zagranicą, dyrygując m. in. w Paryżu, Londynie, Południowej Ameryce i w St. Zjednoczonych. Wszędzie propaguje muzykę polską, wprowadzając do programu swych koncertów dzieła kompozytorów polskich.

W r. 1947 powraca do kraju. Rozumie, że w Polsce Ludowej kultura muzyczna ma wielkie możliwości rozwoju wśród najszerszych mas. Staje na czele wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Stalinogrodzie, która pod jego wytrawnym kierownictwem staje się jedną z czołowych orkiestr symfonicznych, zdobywając zespołową nagrodę państwową II stopnia. Niezależnie od pracy z zespołem symfonicznym Polskiego Radia Fitelberg oddał swój wielki talent i wiedzę muzyczną na usługi ruchu amatorskiego wśród górników i hutników Zagłębia. Obejmuje patronat nad orkiestrą Filharmonii Robotniczej huty „Batory” w Chorzowie, kierując pracą zespołu i prowadząc osobiste próby.

Cześć Jego pamięci!

Uwagi o szkicach Iwaszkiewicza

Jarosław Iwaszkiewicz: Cztery szkice literackie. Czytelnik. Str. 91.

Po książeczce o Bachu, na ogół przemilczanej przez krytykę i fachowców, druga z pozoru dyletancka książka Iwaszkiewicza powstała w sposób przygodny, jak to z lekką ironią zaznaczył autor w przedmowie. Są to bowiem mowy wypowiedziane na obchodach i uroczystościach w ciągu roku 1952. Czy jednak dobór tematyki jest przypadkowy, narzucony zbiegiem rocznic, czy też pisarzem kierowała jakaś głębsza myśl, spajająca te cztery szkice w jedną całość i uprawniającą do ich opublikowania?

Trzeba stwierdzić, że w istocie jest to książka jak najbardziej osobista. Nakreślone sylwetki bowiem posłużyły Iwaszkiewiczowi za pretekst dokonania obrachunku z samym sobą. Książka stanowi więc próbę nowego, odkrywczego spojrzenia na zagadnienia postawy twórczej i jest ukazaniem korzeni własnej twórczości poprzez te stykające się z nią sprawy, które wiążą Iwaszkiewicza z poruszonymi problemami. W tej mierze najpełniejszą wypowiedź stanowić będzie szkic o Szymanowskim, a ponieważ słowa poświęcone życiu i twórczości Nałkowskiej.

Dwa pozostałe szkice, o Leonardzie da Vinci i Wiktorsie Hugo, są niejako wprowadzeniem. Nie postać samego Leonarda, który obok Wilde i Waltera Patera był jednym z mistrzów młodości artystycznej Iwaszkiewicza, zaciekał dziś pisarza, lecz epoka, w której żył znakomity uczeń. „Był to prad wyzwolenia człowieka” — pisze autor „Czterech szkiców”. Wprowadzającą cytata z pism Engelsa nie jest ozdobnikiem. Świadczy ona o rzetelnym wysiłku ocenienia epoki Odrodzenia z naszych pozycji. Podobnie w szkicu o Wiktorsie Hugo autor wydobyla z życia i piarstwa wielkiego Francuza przede wszystkim to, co wiąże go z naszą epoką, a mianowicie walkę autora

„Nędzników” o wyzwolenie społeczne. Konieczność bezpośredniego działania, będąca wsparciem pisarstwa walczącego wydaje się dla Iwaszkiewicza najcenniejszym osiągnięciem pisarza żyjącego w okresie przełomowym wstąpienia burżuazji i pierwszych walk proletariackich. Iwaszkiewicz skróciło nam zupełnie nieznane szczegóły z życia Hugo, poprzednika dzisiejszych działaczy w obrocie pokoju. „Niedawno, podczas obrad komisji kulturalnej Światowej Rady Pokoju — notuje w swym szkicu Iwaszkiewicz — zastanawialiśmy się nad hasłami, jakie należałoby lansować w związku z obchodem rocznic czterech mężów, kiedy poeta turecki, Nazim Hikmet, zbliżył się do ekranu, na którym przybita była fotografia Wiktora Hugo, otoczona cytata z jego przemówienia i powiedział: „Po co się nad tym zastanawiać? To wszystko, co chcemy powiedzieć, powiedział już Wiktor Hugo”. Jak daleko zaszła Iwaszkiewicz w ocenie postawy pisarza! Wystarczy ten szkic zestawić z nakreśloną sylwetką pisarza w „Pasjach Biedniarskich”, hrabiego Tadeusza, niby polskiego Tołstoja, aby stwierdzić że autor tej książki dokonał rewizji własnych poglądów.

Zajawczy się skrupulatnie epoką przełomu, tem dziejowym, w jakim wypada działać twórcy i kłeska artysty, gdy pozostaje samotny, z dala od społeczeństwa (szkic o Leonardzie), zajmujący się postawą twórcy wobec zachodzących przemian dziejowych, nie pozwalających na obojętność (w szkicu o Hugo), przechodzi Iwaszkiewicz do problematyki współczesnej. Po taci Szymanowskiego poświęcił autor „Czerwonych tarcz” piękne i wzruszające „Spotkania z Szymanowskim”, gdzie wprawdzie jest więcej o Iwaszkiewicz niż o kompozytorze, ale to przecież prawo wspomnień. Nakreślił w nich również i

drogi rozwoju wielkiego kompozytora. Są w tym szkicu rozwiązania na temat odnalezienia właściwej postawy twórczej, będącej zarazem poszukiwaniem najtrafniejszych form wyrazu artystycznego. Nie na darmo nazwał Iwaszkiewicz swój wybór utworów poetyckich „Wiersze z różnych epok”. Bowiem okres, w którym żył i tworzył Karol Szymanowski — od modernizmu „Młodej Polski” i secesji poprzez wielką wojnę i rewolucję, która wstrząsnęła starym światem, a którą Szymanowski był świadkiem, do poszukiwania narodowych źródeł twórczości, pozwalających na oczyszczenie z naleciałości kosmopolitycznych własnego warsztatu twórczego — był typowy i dla jednego z twórców tego pokolenia; był przecież drogą poprzez różne epoki. Iwaszkiewicz wskazuje jak wielką rolę w twórczości Szymanowskiego odegrała literatura i osobiste kontakty kompozytora z pisarzami. Zestawiając go z Żeromskim, Iwaszkiewicz podkreśla wpływ pisarza na urealnienie się sztuki w ostatnim okresie życia twórcy „Harnasi”. Poprzez folklor kurpiów i goral skąd Szymanowski ku sztuce w pełni narodowej, a pomocną mu w tym była literatura.

Pisząc o Szymanowskim Iwaszkiewicz nieustannie konfrontuje — wprawdzie w sposób niezwykle dyktetyczny — własną twórczość, nieustannie zestawia postawy twórcze, by w konkluzji dojść do przekonania, że twórca musi iść z narodem i że nie ma wielkiej sztuki oderwanej od społeczeństwa. Jest to zarazem surowa ocena własnej młodości i wieku męskiego oraz wskazówka na przyszłość. Droga twórcy autora „Harnasi” i „Stabat Mater” zdaje się w pełni potwierdzać te prawdy.

Jednak spojrzenie na własną przeszłość nie jest tylko potępieniem. W szkicu o Nałkowskiej Iwaszkiewicz zastanawia się nad znaczeniem estetyzmu i uwarunkowanej nim postawy twórczej dla swego pokolenia. „U Nałkowskiej estetyzm ten miał jeszcze i inne aspekty — pisze Iwaszkiewicz — przede wszystkim był on buntem w stosunku do świata zastanego, w stosunku do kręgu domowego — buntem specyficznym i uzasadnionym”. I nieco dalej: „A przecie to, co wciągnęło pióro w rękę młodej dziewczyny, to, co kazało jej pisać o kwiatkach, tonach, zapachach, co zajmowało jej umysł obrazami wielkiej miłości — to była przecież — pasja życia”. Ona jednak nie może usprawiedliwiać tych ocen rzeczywistości, jakie fałszywie postawiła pisarka, może tylko tłumaczyć młodość. I w tym szkicu, podobnie jak w szkicu o Szymanowskim, mówiąc wszędzie o Nałkowskiej Iwaszkiewicz ma poniekąd na myśli siebie samego: „Bo co za drogę dane nam było przemierzyć — od stosunków na polu feudalnych, jak ja powiedziałam, sięgających jeszcze XVII wieku, aż po dzień dzisiejszy, tak nabrzmiałym nowymi rzutami w przyszłość”. I pewną ocenę tej drogi, rzecz jasna ujętą w sposób skrótowy, daje nam Iwaszkiewicz w tej niewielkiej książeczce, a cóż jest ciekawszego w tych rozważaniach, jak nie wypowiedź twórcy?

W „Czterech szkicach literackich” dał nam autor „Wierszy z różnych epok” nakreślone żywo sylwetki wielkich ludzi, nakreślone z tą lekkością, a zarazem poezją właściwą jego pióru. Niech stanowią wzorzec przemówień i referatów, niech swym pozornym dyletantyzmem skierują uwagę uczonych na zagadnienia, które porusza Iwaszkiewicz. „Cztery szkice” to książka dla każdego. Czytelnik odnajdzie w niej żywych ludzi na tle epoki, literatę uwagi na temat twórczości i trudności z wyborem właściwej drogi. „Cztery szkice” — to margines pracy znakomitego pisarza, tak konieczny nam, jak i jemu, margines ułatwiający zajęcie właściwej postawy twórczej. Wycekujemy na manifestację tej postawy, teraz już w samej twórczości.

Lesław Bartelski

Samuel Sandler

Przeciw znizeniu ideału w literaturze

(Dokończenie ze str. 3)

Środki, których chwytamy się w imię swych ideałów”. Przypatrz się Białobłocki pisarzem, że sprawa „dobra powszechnego” jest wspólną siłą ożywiająca ich twórczość i także działalność rewolucyjnego ruchu socjalistycznego. Widzi możliwości ścierania się poglądów. Nie odmawia pisarzem prawa propagowania własnych „środków praktycznych”, choć jest przekonany o ich „bezsłowności”; nieraz przeciw wskazywał, że nawoływanie „do skruchy i pokory”, hasła solidaryzmu społecznego, które pisarce ci głoszą, są fałszywe, bezowocne. Nieraz wskazywał, że „ideały szczególne”, tak jak je sam pojmował, osiągnąć można tylko w „zgiełku walk” mas całych. Mimo to jednak żąda od pisarzy polemiki światopoglądowej z socjalizmem i jego heroicznymi bohaterami — niezadowolonym z życia i piarstwa wielkiego Francuza przede wszystkim to, co wiąże go z naszą epoką, a mianowicie walkę autora

młoda Ławiczka, nie posłużył mu on jednak jako argument przeciwko Orzeszkowej. Po nie mógł posłużyć. Powieść ta była właśnie rodzajem „kompromisu”, jakiego żądał. Pisarka dowodziła „utojność” ruchu socjalistycznego, ale nie mogła mu przeciwstawić nic pozytywnego w „starym społeczeństwie”. Ideał wiedzy realizował się tam w pokątym poradnictwie prawnym dla chłopów, ideał skrzętny gotowdki w dworach ziemianinów znajdował ucieśnienie w nieustannych procesach z chłopami i Żydami, tęsknota do walki zbrojnej znajdowała ujście... w wynarodowiającej służbie oficerskiej w armii carskiej. To chyba wyjaśnia, dlaczego w obrachunku krytycznym z powieściar. „Antysocjalistycznym” zabrakło *Zygmunta Ławiczka*. Białobłocki kończy swój artykuł wezwaniem: „Szydźcie z życiowych przejawów romantyzmu i „egzaltowanego marzycielstwa”, lecz nie ruszajcie samej idei, a młode pokolenie wam wdzięczne będzie, bo korzyści tylko z tego wyciągnie. O k o k r y t y k i n i e p o z w o l i j e j r a k o p u s z c z a ć, a o g i e n ś s a r k a z m ó w o c z y ś c i j a o d w i e l u w a d d z i e d z i c z n y c h i n a b y t y c h ”.

Artykuł *Znizenie ideału* był przede wszystkim obroną ideologii socjalizmu przed jej „profanacją” przez pisarzy mieszczańskich, ale był równocześnie obroną wartości postępowych, humanistycznych we współczesnej mu literaturze polskiej oraz tego dziedzictwa, które przekazywała przeszłość. Zespołenie obrony postępowych wartości literatury narodowej i ideologii socjalistycznej w praktyce Białobłockiego posiada swoją głęboką wymowę. Dowodził, że walka o socjalizm jest jednocześnie walką o postępowe wartości kultury narodowej. To jedna z jego najcenniejszych dla nas myśli.

Niewątpliwie krytyk znał *Zyg-*

CHRISTO SMIRNEŃSKI KAROL LIEBKNECHT

Na wieczny czas go Berlin zapamiętał w te dni burz karolomonych i zamętu, gdy na ulicach szło — i krok ich głośniejszy od orkiestr brzmiał.

W dni owe demon wojny, zięć ogniem, po całej ziemi rozwił swe chorągwie, świat w swą zagarnął moc, ślepy, posłuszny wodzom — drapieżnikom, szablami dzwoniąc, z zacieklnością dźdką lecieli w krwawą noc.

Niby potworne i okrutne zwierzę, z pomrukiem gniewnym Berlin się najeżył w ślepych szaleństwie swym. I gdzie żelazne łapy swe rozpostarł — tam wsie i miasta, pola i domostwa pożogł spowół dym.

Lecz w mrok, gdzie się panoszy żywioł — zbrodnia, czerwoną gwiazdą wdzierza się pochodnia — i oto serca drżą, bo w nich nadzieja nagle zmartwychwstała, i oto zew: „Młodzieży, naprzód! Śmiało!” nad miastem gromił jak grom.

Czerwień płakałów plynie wzdłuż bulwaru, co budzi się zdumiony: śmiałości paru nie sztandar, zda się, lecz krwi własnej płomien nad nim wznosi, krzycząc nieustraszenie: „Z wojną precz zbrodnica, z jej kapłanami precz!”

I cały Berlin pytał w ostupieniu: „Kim jest bohater ten, kim ten szalaniec? Komu starczyło sił, aby podpisać wyrok śmierci własnej? Kto mężna młodzież porwał walki hasłem?” To Karol Liebknecht był!

Pamięta Berlin go — i nigdy nie zapomni: dał tłumom znak, a głodni i bezdomni powstał w owe dni. Głos jego w głębi młodych serc przenika — i oto luna, wznosząc się z barykad, nad ulicami łni.

1921 r.

BOGUMIŁ NONEW

W TRZYDZIESTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

Christo Smirneński — poeta rewolucji

(Artykuł napisany specjalnie dla „Nowej Kultury”)



Christo Smirneński

Kiedy chcemy oznaczyć szczytowe punkty rozwoju bułgarskiej poezji rewolucyjnej zatrzymujemy się na twórczości Christo Botewa, Christo Smirneńskiego i Nikoły Jonkowa Wapcarowa.

Smirneński tworzył w okresie pierwszej wojny światowej. Wiersze jego odzwierciedlają zryw rewolucyjny mas ludowych w latach po zakończeniu wojny. Smirneński nie doczekał sławnego powstania wrześniowego 1923 roku — gdy miał za ledwie dwadzieścia pięć lat zmarł na gruźlicę 18 czerwca 1923 roku.

„Od czasu — cętnego zrywu mas pracujących w naszym kraju po pierwszej wojnie światowej poezja Christa Smirneńskiego stała się sztandarem ludu bułgarskiego w walce z faszyzmem, był to bowiem artysta o wyjątkowej sile, płomiennej herold i zwiastun socjalistycznej rewolucji” (Wytko Czerwenkow). Jego poezja, z której tryska niewyczerpane źródło miłości do uciskanych i wyzyskiwanych, do młodego państwa radzieckiego i mas ludowych walczących o wolność, stała się natychmiast każdego uczciwego Bułgara. Zbiór jego wierszy „Niech będzie dzień”, jego ostre estry i pamflety rozpalają płomień rewolucyjny, budziły świadomość narodową, krzepiły wolę zwycięstwa. Towarzysz Wytko Czerwenkow pisze: „W przeciągu dwóch dziesięcioleci bojownicy z faszyzmem — w przedsiębiorstwach i urzędach, na ulicy, w strajkach, w demonstracjach, na polu, w areszcie i kazamatach, w obozach, w górach — wszędzie dokonywali bohater- skich czynów, szli w bój, na meki i stracenie z natchnieniami pieśniami Smirneńskiego na ustach”.

Christo Smirneński urodził się w małym miasteczku macedońskim Kukusz. Wyrósł w biedzie, w rodzinie świątelnego człowieka, miejscowego rzemieślnika. Już w latach dziecięcych Smirneński odczuł nie tylko

Wielką lodowatą wichrą styczeń rozpalił zemię w sercach robotniczych i sprawiedliwy gniew. Wezbrała chmura buntu — i złowieszcze pioruny uderzyły, ciepłym deszczem na bruk spłynęła krew.

Mijały dni i noce walk surowych. Zerwali niewolnicy swe okowy — i aż do końca rąk nie opuszcili. Berlin oddech wstrzymał, ich srogi uśmiech mając przed oczyma — i wzdygnął się, i zląkł.

Znów śmierć się otwiera czarna księga i po imiona spartakowców sięga... I śnieg topniejąc zmył z alei płamę król. Duch jakiś, jasny jak promień, zatrząsał się i zgasnął. To Karol Liebknecht był!...

*

Lecz Berlin wlecznie go pamiętać będzie. oto na czele kroczy tłumów, wszędzie rosnących z każdym dniem i z taką siłą targających pięta, że wstrząsa się zły świat ten w fundamentach i pod ciociami gnie.

Berlin w codzienny się wsłuchuje hałas: Spartakus, stojąc nad nim, gniewem pała, głosami woła stu: „Daremnie twe nadzieje — o, Berlinie! Twój triumf chwila! Złoty jest jedynie — ja zawsze jestem tu!”

Tyś mi w alei mrocznej grób wykopał, lecz znowu bruk twój deptę swoją stopą, przemogłszy własną śmierć! Do ostatniego szturmu dźwignę znowu lud, aby zatkał sztandar purpurowy na najczarniejszej z twierdz!

A jeśli wśród tych bojów zgaśnie słońce — to serce me jak słońce gorejące rozproszy mroki burz... I aby zrzucić mogła matka — ziemia ostatni łańcuch — starczy jej płomienia, co tryska z młodych dusz!”

Tłumaczył z bułgarskiego Eugeniusz Zytomirski

giód i niedostatki, lecz także tragiczny los uciekiniera i okropności wojny. W r. 1913 Bułgaria przegrała wojnę międzysojuszniczą (z Grecją, poprzednim swym sojusznikiem przeciwko Turcji — przyp. Red.). Mieszkańcy Kukusza musieli, przedzierając się przez góry i lasy, szukać schronienia w Bułgarii. Wojna, jej okrutny bezsens i nieludzkość, pozostawiły w świadomości małego Smirneńskiego jaskrawe wspomnienie, które stało się bodźcem do gniewnych stróf przeciw mordercom bezbronnym.

Twórczość poetycką Smirneński rozpoczął w latach 1916—17. Już w pierwszych jego utworach widać nie tylko wielki talent poetycki, lecz także silne poczucie sprawiedliwości społecznej. Gdy nastąpiło zawieszenie broni i zawarcie pokoju, Smirneński dostrzegł, że jest to pokój, który służyć będzie tylko zwycięzcom, że wszystkie obietnice pozostaną pustymi słowami i że małe narody będą nadal jęczeć pod butem imperializmu. Satyra Smirneńskiego rozszerza swój tematyczny zasięg: smaga nie tylko winowajców katastrofy Bułgarii i dyktatorów imperii listnych, ale i wszystkie, nowe objawy życia burżuazyjnego w okresie powojennym: spekulację, afery, żonglerstwa polityków, demagogię. Lecz charakterystyczna dla tego wielkiego poety jest też czuła wrażliwość, liryzm, uміowanie życia. I jednocześnie z wierszami satyrycznymi pisze on także strofy liryczne, z których wieje świeżością, młodością, entuzjazmem i humorem, lecz tym razem dojralszym, ciepłym i ludzkim.

W roku ukończenia pierwszej wojny światowej Christo Smirneński dojrzał jako wybitny poeta Rewolucji, poeta Partii.

Stał się zdyscyplinowanym członkiem Partii i jednocześnie jej poetą — największym, najbardziej płomiennym i nieprzejednanym w tej epoce. Towarzysze jego wspominają, że jak wielką świadomością obowiązków partyjnych ochraniał klub partyjny przed zbójkami wybrakami szajki faszystowskiej, z jakim oddaniem ukołowanej sprawie rewolucyjnej wpełniał każde najdrobniejsze polecenie. Nie trudno odczuć w jego żarliwej i wrzuszającej poezji serce komunisty, który twórczość poetycką i działalność rewolucyjną połączył w jedną niepodzielną całość. Z natężoną uwagą śledzi on wydarzenia w Związku Radzieckim, zwycięstwo rewolucji, rozbicie band interwencyjnych. Wtedy powstają jego najbardziej entuzjastyczne i wrzuszające wiersze: „Moskwa”, „Czerwone szwadrony”, „Blask północy”, „Trzy lata”, „Bunt Wezuwiusza”. Całą swoją istotą Christo Smirneński odczuwa rewolucyjne porwy mas, wzburzającą w Europie rewolucję.

Najczulszy i prawdziwie ludzki odzew znajdują w sercu poety cierpienia uciskanych, wyrzuconych po-

Bogumił Nonew

Bogumił Nonew

ZBIGNIEW FLORCZAK

Książka na ławie oskarżonych

Faley Square — to jeden ze skrótów, które zyskały sobie po wojnie złą sławę. Jak Wall-Street, jak Ellis Island. Faley Square symbolizuje „sprawiedliwość” we współczesnej Ameryce. Na Faley Square w Nowym Jorku mieści się trybunał Stanów Zjednoczonych. Tam, między innymi, wymierzono amerykańską sprawiedliwość małżeństwu Rosenberg. W roku ubiegłym w celach Faley Square powstał poemat, który wiele mówi o rodzaju spraw sądzonych w tych murach i o rodzaju podsądnych. Poemat nosi tytuł „Kaliban przemawia”, a napisał go V. J. Jerome.



Aleksander Trachtenberg

Krótka o tym utworze, który jest manifestacją nie tylko artystyczną, ale — przede wszystkim — polityczną. Jerome rewokował postać Kalibana szekspirowskiego, autochtona wyspy, którą okupował czarnoskóry Prospero. W komedii Szekspira Kaliban jest straconą na dno upokorzenia, z gospodarza wyspy staje się niewolnikiem. Nie przypadkiem Szekspierowi nasunęło się takie a nie inne rozwiązanie fabularne. Ostatnie lata panowania królowej Elżbiety — to inauguracja okresu kolonizacji i imperializmu; „Burza” została wystawiona po raz pierwszy w r. 1611, czyli na 11 lat przed założeniem Kompanii Indyjskiej. V. J. Jerome dopełnia koncepcji Szekspira — zgodnie z dojrzałością polityczną naszego czasu. Kaliban Jerome'a sprzeciwia się stanowi rzeczy, na który przystał Szekspier. Naturalnie ten bunt Kalibana autor poematu uogólnił — przystosował jego sens do naszej epoki. Kaliban wytacza proces wszystkim dotychczasowym i obecnym Prospero: kolonizatorom, podległym, ciemnym i nowoczesnym inkwizytorom, którzy z wyjątkiem palenia czarownic chcieliby przenieść w wiek XX (Prospero z „Burzy”, aby znaleźć uzasadnienie dla swego postępowania, obwołał Kalibana symem czarownicy); Jerome nazywa ich w poemacie „piratami cywilizacji”. Zresztą nie ten poemat był powodem procesu wytoczonego poecie. Autor napisał go — jak wspomnieliśmy — dopiero w więzieniu. Przyczyną oskarżenia był inny tekst, mianowicie pamflet polityczny pod tytułem „Podnieście oręż kultury”. W tej książeczce znalazły się słowa:

„Stosowanie cenzury i czarnej listy stało się zasadą, w stosunku do wszystkich środków masowej propagandy, a więc radia, telewizji, filmu, teatru, czasopiśm, gazet i innych wydawnictw... Pozostaje to w związku z ogólnym procesem faszyzacji kultury... „Burżuazyjny uczonej robi co może, żeby usprawiedliwić swoją pogardę dla człowieka, w czym pomaga mu burżuazyjny filozof oferując teorię o przeludnieniu... Haniebna nędza Puerto Rico jest przypisywana zjawisku przeludnienia i rzekomo „wschodniemu” przyrostowi naturalnemu...”

Ciekawe że kiedy w czasie rozprawy obrońca chciał przeczytać fragmenty broszury Jerome'a — prokurator oświadczył: „Protestuję. Ten dokument nie ma żadnego związku ze sprawą”. Prawo amerykańskie, a ściślej: prawo we współczesnej interpretacji amerykańskich Prospero — nie godzi się na publiczną analizę motywów oskarżenia, a to dlatego, że nie poszczególne osoby są w samej rzeczy oskarżone, ale idee wyznawane przez masy.

Ta sama metoda wymiaru sprawiedliwości (Jerome został w wyniku 10-miesięcznego procesu uznany winnym należenia do „spisku mającego na celu nauce i podburzanie”), ten sam coraz bardziej obnażający się, ale jeszcze obłudny czynnik cechował niedawny proces Aleksandra Trachtenberga i 15-tu współoskarżonych.

SPOTKANIE Z CZYTELNIKAMI
NOWEJ KULTURY

W czwartek 2 lipca o godz. 18 odbędzie się w Domu Kultury Zw. Zaw. przy ul. Elektrycznej 14 spotkanie dyskusyjne zespołu redakcyjnego „Nowej Kultury” z aktywnym świetliwym warszaw i woj. warszawskiego, mające na celu nawiazanie ścisłej więzi z czytelnikami. Wstęp wolny.

Aleksander Trachtenberg stoi na czele przedsiębiorstwa wydawniczego „Międzynarodowy Wydawca” — firmy, która w ciągu minionych 25 lat położyła wielkie zasługi w dziedzinie kształtowania myśli społecznej w Ameryce. „Międzynarodowy Wydawca” oddalił masom amerykańskim dzieła, do których nie miały one dotychczas dostępu — głównie tłumaczenia klasyków marksizmu - leninizmu, aż po ostatnie prace Józefa Stalina. Prócz popularyzacji klasyków marksizmu, „Międzynarodowy Wydawca” otoczył opieką postępową literaturę rodzimą, która nie cieszyła się laską konserwatorów wydawniczych. W okładkach Trachtenberga wyszły książki Williama Fostera, Fast. Fast na meetingu, o którym wspominaliśmy, powiedział: — „Nie byłbym napisał swoich książek, gdyby nie drzwi, które przede mną otworzyła działalność Trachtenberga”.

Działalność ta... w stosunkach amerykańskich zdumiewająca od wagą i wyrobieniem ideowym... nie znalazła, rzecz prosta, sympatii w kołach rządzących. Pan Hugo Black, Sędzia Sądu Najwyższego przyznał, że „...podsądnych nie oskarża się o usiłowanie zamachu stanu; nie oskarża się ich o popełnienie jakichkolwiek aktów zmierzających do obalenia rządu; nie oskarża się ich również o wypowiadanie czy napisanie czegoś, co by prowadziło do zamachu stanu...”

Oskarża się ich — o czym akt oskarżenia nie mówi — o to, że uczyli i bronili marksizmu - leninizmu rozpowszechniając książki nie wciągnięte dotąd na indeks przez cenzurę amerykańską.

Zadanie, jakie postawił przed sobą Trachtenberg, było bardzo ambitne. Chodziło o utrwalenie rozwoju myśli postępowej w Ameryce.

Akcja wydawnicza tej firmy liczyła się przede wszystkim z potrzebami intelektualnymi człowieka pracującego. Obok przekładów dzieł marksistowskich, dzieł poświęconych sprawie murzyńskiej, obok raportów farmerów amerykańskich, którzy odwiedzali Związek Radziecki — Trachtenberg usiłował stworzyć postępową, pedagogiczną literaturę dziecięcą, której młode pokolenie amerykańskie wychowane w atmosferze comiesięcznych, pornografii i złych filmów jest całkowicie pozbawione. Nakładem „Międzynarodowych Wydawców” ukazała się również historia narodu murzyńskiego, wyjaśniająca olbrzymią rolę Czarnych w kształtowaniu się społeczeństwa amerykańskiego.

Trachtenberg już jako student rzucił wyzwanie tendencjom rasistowskim w Ameryce. 40 lat temu wprowadził on na zebranie Towarzystwa Studiów Socjalistycznych przy Uniwersytecie w Yale nieznaną uczonemu, Murzyną Du Bois. „W owym czasie wprowadzenie Murzyna na zebranie w Yale było aktem bardziej rewolucyjnym niż np. dyskusja nad dziełami Marksa” — komentuje niezrozumiała dla nas sensacyjność tego wydarzenia Shirley Graham, uczestnik wspomnianego wiecu w obronie Trachtenberga. W późniejszych latach Trachtenberg jako dyrektor Socialist Rand School był główną sprężyną utworzenia Sekcji Studiów nad ruchem robotniczym. Materiały zebrane przez tę instytucję stały się arsenalem argumentów w walce prowadzonej przez amerykańskie związki zawodowe. Po wojnie światowej podobne zadanie spełniało wydawnictwo „Labor Year Book” — rodzaj almanachu ruchu robotniczego — również zainicjowane przez Trachtenberga. Spod prasy „Międzynarodowych Wydawców” wyszło następnie 10 tomów „Labor Feat Books”.

Sekcja Studiów nad ruchem robotniczym odegrała wielką rolę szczególnie w latach trzydziestych, w epoce kryzysu i bezrobocia, stając się faktyczną bazą energii i świadomości robotniczej. Ukazały się wówczas tomy monograficzne opracowujące zagadnienie interesów robotniczych w poszczególnych gałęziach przemysłu. Sekcja Studiów pracowała również nad zorganizowaniem najbardziej bezbronnych członków masy robotniczej — cudzoziemców, Murzynów, kobiet i młodzieży.

Sprawa Trachtenberga poruszyła postępową Amerykę. Grupa ludzi pracujących nad wyprodukowaniem książki — tego przedmiotu, któremu reakcyjny Trybunał Ameryki wytoczył proces — zorganizowała wiec, na którym przedyskutowała niebezpieczeństwo, jakie stwarza Ameryce. Postępowo, trzeźwo i czujną część społeczeństwa oceniła sprawę Trachtenberga jako akt zbrodni w skali całej kultury amerykańskiej. Jeden z mówców, prof. Harper ze Szkoły Prawa w Yale oświadczył:

„Jeżeli zaczniemy urządzać stopy z dzieł wydartych naszym kolegom oraz prywatnym i publicznym bibliotekom — znajdziemy się na prostej, niechybnej drodze do fałszywemu. Od tego już niedaleko do obozów koncentracyjnych”.

Zbigniew Florczak

Leonid Czyżow, kierownik literacki pewnej wytwórni filmowej, przyszedł wieczorem do swego przyjaciela Kopytowa, redaktora wydawnictwa „Młody kielik”. Zdjął płaszcz, położył się na kanapie, zapalił i ciężko westchnął. Do następnego westchnienia Kopytow nie dopuścił:

— Cemu tak wzdychasz? Spotkałeś może znowu jakiegoś autora? Daj spokój, nie denerwuj się! Chodźmy lepiej do Tarabanowów, u nich można dziś obejrzeć przez telewizor „Swinlarkę i pastucha”. A propos, twoja żona jest tam również. Dzwoniła przed chwilą.

— Odczep się!

— Cóż ci się stało?

Czyżow zerwał się z kanapy tak gwałtownie, że sprężyny zgrzytnęły jak hamulce starego „Moskwicza”.

— Masz validol?

Kopytow zaczął szukać lekarstwa w szafce, Czyżow zaś siedział, trzymając się ręką za serce.

— Validolu nie mam, są tylko krople walerianowe. Specjalne wydanie dla redaktorów. Nakapać?

— Nakap!

Czyżow wypił krople i położył się znowu. Przyjacieli zabrał szklanceczkę i zaczął powtarzać ze zdumieniem:

— Co z tobą, przyjacielu? Nigdy tego nie było. To wszystko nerwy, mój drogi.

Czyżow uśmiechnął się gorzko i rzekł ze złością:

— Nerwy! Przy takiej przekleśnej pracy jak moja, trzeba mieć zamiast nerwów żelazne postronki! To tylko u was tak: raz, dwa — i książeczka gotowa.

Po tym dramatycznym wstępie Czyżow przystąpił do bardziej szczegółowego opowiadania:

— Wezwał mnie dziś dyrektor, Nagniejew. Wchodził ja do niego i widzę, że siedzi tam Niekin, nasz redaktor naczelny. Obaj nie spodobał mi się od razu. Złazł Niekin. Taki niby uśmiechnięty, a świdruje mnie oczyma. Rozmowę zaczął Niekin: „No, kolego, chcemy wam powierzyć jeden z ważniejszych odcinków”. Prawdę mówiąc, pomyślałem, że chcą mnie przerzucić na dublerkę, ale okazało się, że to coś gorszego...

— Co gorszego? Przenoszą cię na prowincję?

— Nie. Jeszcze gorzej!

— Co może być gorszego?!

— No to słuchaj! „Wy — powiada — kolego, przed dwoma laty, bardzo ciekawie przemawialiście o komedii, na naradzie w Związku Literatów. Dziwiłem się wtedy nawet: skąd wy do tego?” Z początku nie rozumiałem, do czego oni zmierzają. A Nagniejew wali prosto z mostu: „Bedziecie musieli z pozycji epickich przerzucić się na komedie. Poważnie i z pełnym poczuciem odpowiedzialności. Komedie jest teraz sprawą najważniejszą, żądają od nas satyry, dajemy więc wam dowód wielkiego zaufania”.

Rozumiesz chyba, jak się broniłem. Powoływałem się na zły stan zdrowia, na charakter. Zaczęłam ożerniać siebie samego, wyznałem, że przemówienie wygłoszone w Związku Literatów wycięła mi żona ze starych artykułów. Jaki może być ze mnie — powiedziałam — specjalista od komedii, skoro ja od piętnastu lat nie byłem w teatrze satyry! A Nagniejew do mnie: „To właśnie dobrze. Macie zatem niezaprzeczalny smak”. Więc ja z innej beczki: zacząłem wychwalać Ludmilę, młodszego redaktora. Ona — powiedziałam — śmieje się z byle czego, wystarczy pokazać jej palec. Nagniejew z miejsca ją odwalił: „Śmiech? My musimy mieć do spraw komedii takiego człowieka, który będzie ostrożny w dwustu pięćdziesięciu procentach. A Ludmilla śmieje się niepoważnie. Po prostu ma ładne twórcze i chce je w ten sposób pokazać”. W ogóle nic nie pomogło. Możesz mi więc pogratulować i złożyć kondolencje: siedzi przed tobą naczelny mistrz satyry, w teście zaś spoczywa scenariusz pierwszej komedii. Wreczono mi go na zakończenie. Przed odejściem od kasy, jak to się mówi...

— Kto jest autorem?

— Ktoś z nowych. Jakiś Kopyow.

— Laureat?

— Nie rozumiem! Ja do ciebie poradę, a ty zadajesz jakieś głupie pytania! Co cię obchodzi, czy to laureat?

Czyżow wstał i wyszedł, nie żegnając się.

Po powrocie do domu wypalił dziesięć papierosów, zasiadł przy biurku i z ciężkim westchnieniem zabrał się do scenariusza.

Jak się okazało ten jakiś Kopyow wcale nieźle znał życie i był nie wątpliwie utalentowanym, obiecującym scenarzystą filmowym. Czytając scenariusz Czyżow z początku uśmiechał się tylko, potem zaczął się śmiać, wreszcie roześmiał się śmiecia gardło. Prócz głównej

nożyce

Oryginalne sformułowanie

bohaterki spodobały mu się zwłaszcza w scenariuszu dwie postacie: lizus Podmiotkin i mąż bohaterki — ordynarny, posępny Iwan Makarowicz.

Po przeczytaniu scenariusza Czyżow zapalił i pograżył się w zadumę. Stanowczo — scenariusz był niezły. Przed oczyma Czyżowa stała chytry Podmiotkin, mówiący soczystym, żywym językiem. A na myśl o Iwanie Makarowiczu, Czyżow aż gwizdał. Jakże udała się ta rola autorowi! Szczególnie, zawsze naciskam na plan. Wszystko, powiadam, spełnione.

Po pięciu minutach Czyżow duszkiem wypił szklankę zimnej herbaty i mruknął: „Co za osioł ze mnie!” — zaczął szybko pisać.

Na białym arkuszu leżącym na stole, w którym natrafia jednak na poważne trudności, które składają do zasadałowania wyłaniającego się problemu.

Zbliżała się północ. Czyżow raźnie zasiadł do pisania i odpowiedział autorowi. Znałe zwroty lekko wbiegały na papier: „Po znanym miejscu się z waszym scenariuszem, muszę wam za komunikować, że z powodu wykonania planu na rok bieżący, sprawa waszego scenariusza przeniesiona zostaje na okres dalszy. Nie pozabawia to was oczywiście prawa zwrócenia się do innej wytwórni”.

Zbawcze sformułowanie zostało odnalezione.

Dalej pióro nie pisało, gdyż w tej samej chwili Czyżow stał się kimś zupełnie innym. Z czytelnika, przekształcił się w starego doświadczanego redaktora ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Przede wszystkim przypominał więc sobie słowa dyrektora o ostrożności i zaczął rozmyślać samodzielnie:

„Co właściwie chciał powiedzieć autor scenariusza? Kto to jest lizus i jak trzeba go zwalczać? A komu to potrzebne? Czy to uboczny temat — zły, nie kochający mąż? A to komu jest potrzebne?...”

Czyżow przekreślił „zalety” i napisał: „Istotne wady”.

Ala zdyskwalifikowanie scenariusza okazało się również niełatwą sprawą. Trzeba było znaleźć jakieś gładkie, lekkostrawne sformułowanie, a ono ani rusz nie przychodziło mu na myśl. Zona już wróciła od znajomych, zakreśliła włosy na noc i spała od dawna, a mąż ciągle jeszcze siedział przy biurku, bezwiednie rysując jakieś demoniczne profile. Podarł już dwadzieścia arkuszy papieru i ze smutkiem wspominał dawne dobre czasy, gdy każdego autora można było wykończyć przy pomocy dwóch zdań: „To nie typowe”, albo: „Szczując w charakterystyce postaci, świadomie lub nieświadomie leje wodę na młyn...”

Teraz nie nadawało się ani jedno, ani drugie. A Czyżow nie mógł w żaden sposób wymyślić nic nowego. I męczący się może biedak aż do świtu, gdyby nie telefon Kopytowa:

ADAM OCHOCKI

TAK TO NIE SZTUKA!

— Co z jego sztuką? Idzie dalej?
— Sztuka wciąż idzie dalej. Ludzie przestali.

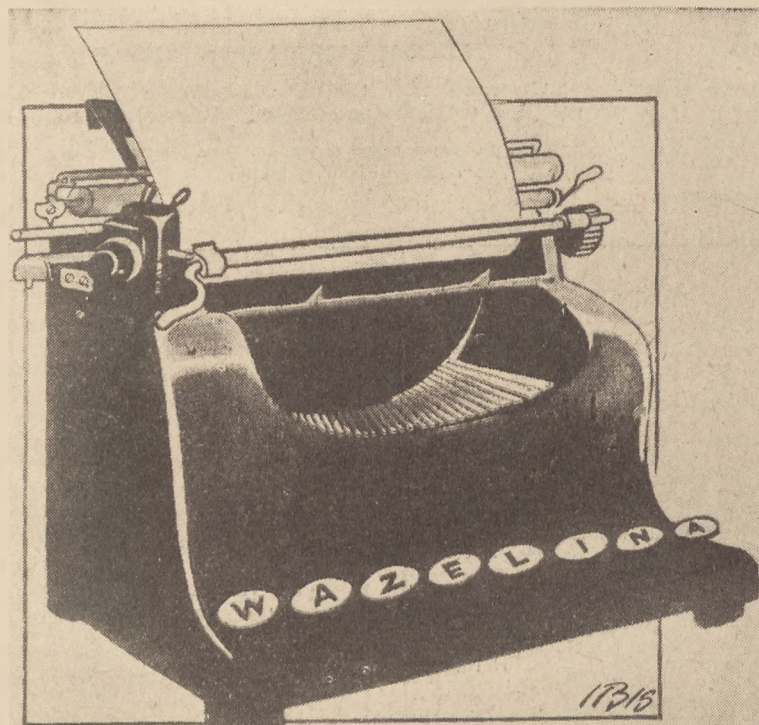
DO PEWNEGO TŁUMACZA

Może wytłumaczyć racyzm
Sens tego, co przetłumaczył?

wg E. Krotkiego

„Z TERENU”

Przy biurku wzbili się w marzeń chmure,
Zakreślił kręgi coraz szersze
I żwawo pisze wiecznym piórem
Wcale nie wieczne wiersze.



Maszyna do pisania pewnego krytyka

Rys. Ibis

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Uwertura
do problemu

Sprawa biografii muzyka urasta poczyną powoli do formatu zagadnienia, „Kompozytor Glinka” — film o wielkim klasyku muzyki rosyjskiej, któremu z niezrozumiałych powodów Film Polski przyrzucił miano „czarodzieja”, stanowi jeden jeszcze, nie małej wagi przyczynek do tego zagadnienia.

Historyczna sprawa wygląda następująco. Kinematografia kapitalistyczna, idąc w tej mierze za wzorami z literatury, stworzyła typ filmu biograficznego opartego na zakulisowych obserwacjach i anegdotach, filmu, w którym odbrzydzenie powasało się do granic parodii.

Postępowi „Imowcy” przecistawili, i słusznie, anegdotycznej koncepcji biografii twórcę koncepcji inną, której założeniem było jak najściślejsze powiązanie biografii artysty z jego dziełem, podporządkowanie życia dziełu, pokazanie jak życie wydaje, rodzi dzieło. Koncepcja ta, w założeniu słuszna i wychodząca z realistycznych pozycji, w realizacji natrafia jednak na poważne trudności, które składają do zasadałowania wyłaniającego się problemu.

Gdy scenarzysta zasiada do pisania filmowej biografii Piotra Wielkiego lub Napoleona I — sprawa jest stosunkowo prosta. Bogate w wydarzenia biografie pozwalają na zbudowanie silnej dramatycznej, zwartej opowieści trzymającej w napięciu salę przez dwie godziny filmowego sensu. W jakiej innej jednak sytuacji znajdzie się, jeśli się znajdzie, filmowy biograf Balzaka! Pokój z zapuszczonymi storami i blaskiem świec, dzień mieszający się z nocą, człowiek w miekkim habicie pochylony nad papierem — wszystko to stanowi obraz zdolny zapełnić jedną najwęższą scenę. A w ten przecież sposób spędził autor „Komedii ludzkiej” najlepsze, najplodniejsze lata swego życia! Biografii zaś „typu balzackowskiego” jest więcej, i kto wie, czy nie one właśnie przetrwają, jeśli chodzi o wielkich twórców.

I w tym właśnie miejscu, gdy braknie akcji, fabuły, zacinając się kłopoty z dramaturgią filmu o twórcy, kłopoty, które napotykał Ford w „Młodości Chopina”, które napotykał również autorzy scenariusza o Glince — Paulenka i Treniewa i Aleksandrow. Jak próbują sobie z nimi radzić? Odsieczą stać się cytaty muzyczny i dialog, który obarcza się obowiązkiem dźwigania wszystkiego — i wiadomości o epoce, i wiadomości o tym, co nie dzieje się na ekranie, a co jest niezbędne, żeby w ogóle coś się działo. Obok tego, jak w filmie o Glince, pojawiają się „atrakcje” — powódź w Petersburgu, przesuwanie z miejsca na miejsce drewnianej cerkwi, wreszcie scenki informujące że Glinka żył w skrajnej nędzy.

I na tym gruncie rodzi się błędna teoria, że w filmach o muzykach rolę czynnika dramatycznego gra sama muzyka. Teoria błędna, bo odnoscą porażkę na ekranie, w zetknięciu z odbiorcą. Jak należą ją rozumieć? Odwołajmy się do przykładu. Mówi się, że w filmie o Glince konflikt dramatyczny polega na starciu się trzech światów muzycznych: muzyki Glinki, muzyki zachodnio-europejskiej i kosmopolitycznej oraz rosyjskiej muzyki ludowej. Zgoda, ale w czym się ten konflikt wyraża? W tym, że różni ludzie grają swoje melodie i dyskutują (A więc znów cytaty muzyczny i dialog jako próba ratowania waleń dramaturgii). I film, najbardziej, obok literatury, narracyjna ze sztuk, zamienia się w koncert z dyskusją. Koncert znajduje na widowni nieklamanych zwolenników, tych samych, którzy odwołują się do Filharmonii, dyskusja, owszem, dostarcza garść cennych niekiedy informacji, ale są to przeżytki niefilmowe i nie one stanowiące powinnny cel dzieła ekranowego.

Czy znaczy to, że dla muzyki nie ma miejsca na ekranie, czy znaczy również, że tak zwana dramaturgia muzyczna obca jest sztuce filmowej?

Ani jedno, ani drugie. Ten sam Aleksandrow, twórca „Glinki”, jest również autorem kapitalnych komedii muzycznych „Świat się śmieje” i „Wolga - Wolga”, w których cytaty muzyczne zajmują nie mniej miejsca, niż w biografii Glinki. Tylko że te cytaty nie mają z artystą i fabularnej dramaturgii, ale i wzmocniły w „Wolga-Wolga” konflikt rozgrywa się między zramolowanymi biurokratami a młodym zespołem amatorskim, muzyka jest tu jedynie materialnym ujęciem, tego konfliktu, wyrasta z niego i jemu służy. Natomiast przykład dramaturgii muzycznej dał jeden z największych filmowców wszystkich czasów, Eisenstein, komponując poszczególne sceny wielkiego historycznego obrazu o Aleksandrze Newskim na zasadzie muzycznej harmonii, przy czym frazom muzycznym kantaty Prokofiewa odpowiadały obracające w jednym jednak z tych filmów muzyka nie miała zastępować tego, co w filmie jest najważniejsze — fabularnej konstrukcji i wynikającej stąd dramaturgii zdarzeń, międzyludzkich stosunków i historycznych faktów.

Krzysztof Toeplitz

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32. I p. Telefony: 8-86-11 — Sekretariat, — Red. naczelny. 8-79-38. Adres administracji Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 00 81. Władze RSW „Prasa” Kolczerz P P K „Ruch”. Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejskie. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1-111-5589, tel. 8 23-09. Reklamodawcy niezamówionych redakcja nie zwraca.